Pierwsze myśli.

Florencya w zimie 1864.

Opow
ślicie
piękn
mydl
po n
Duch
na
Niez
niezn
A i
szych
miera
niący
aż n
Danie
rój
dzić
potęg
dziej
Którys
i rę
Kości
niu
pozos

Przedmowa.

Opowiedziałem na następnych kartach dzieje powicia się młodego myśliciela, boleści, które towarzyszyły obudzeniu się myśli jego. Wiele snów pięknych uleciało, wiele nadziei marnych prysło, jak pryskają bańki mydlanne, pod powiewem wietrzyka. Są to cierpienia wielkie, ale po nich nastąpi radość, po nich zadowolnienie wewnętrzne i spokój ducha. Przecież nie wszyscy dochodzą do kresu, mało kto wyrośnie na młodzieńca, a na mężów myśli tylko wieki czasem się wysilą. Niezliczone miliony umierają przed odrodzeniem się w duchu, krocie niezmierne konają wśród bolesnych porodów, mało kto je przeżyje. A i z tej małej liczby czyż większość nie umiera w wieku najlepszych nadziei, czyż większość z tych, co przebyli poród myśli, nie umiera młodzieńcami? Zimne poranki wiosenne strącają tyle woniących kwiatów, tyle brzemiennych pączków – a wiosna świata aż nazbyt mroźna. Przesądy rodziców, względy możnych, przekładanie dobrobytu nad niewygody, czci światowej nad cierpienie i nad rój prześladowań, wszystkie namiętności i słabostki, jakie obudzić zdolen świat i organizm jego w sercu młodem, te razem potęgi połączone wymrożą najpiękniejsze pączki, zawiodą nadzieje bogatych plonów. Tylko co sto lat najwięcej przejdzie duch któryś przez te wszystkie pokusy i nie ulegnie cierpieniom i ręką gieniuszu zakreśli na nowo przyszły bieg losów dla ludzkości, która go nie zna zwykle za życia i dopiero po upłynieniu wieków chwyta słowa jego, dziwiąc się, że tak długo mogły pozostać w ukryciu.

Praca następna powstała w głównych zarysach w Szwajcaryi, w lecie r. 1863, gdym bawił w Interlaken. Skończyłem był wtedy studyum Szoppenhauera i walczyłem usilnie, żeby nie dać się zgruchotać wielkiemu duchowi, żeby ocalić moją indywidualność. Wszystko co z walki się rodzi, to dzikie ruiny: cała praca była przepełniona porywczym językiem, śmiałemi obrazami, brakiem ogłędności. Z tych pierwotnych rysów znajdzie czytelnik jeszcze nie jeden w pierwszych dwóch rozdziałach.

Cała praca na nowo została przerobioną i przelaną w formę, zupełnie nową, gdym od września 1863 bawiłem w cudnéj Florencyi, gdym w pięknym ogrodzie Boboli mógł się oddawać marzeniom. Trzy ostatnie rozdziały w obecnéj ich formie zawdzięczam wyłącznie pobytowi w Włoszech, a na dwa pierwsze także nie mało wpłynął.

Praca ta nie wiele warta i z czasem napiszę co lepszego, ale zatruła mi przeszło dziesięć miesięcy (maj 1863 – luty 1864), i dlatego jéj nie zniszczyłem. Dziecko to okupiłem zbyt wielkiem cierpieniem moralném: kocham je, mimo jego niedołęztwa.

Florencya 3. marca 1864.

I.

Przed tobą góry niebotyczne, dziewiczym śniegiem okryte, a u podnoża ich uśmiechają się doliny. I z owych gór wspaniałych, zdumiewających ciebie, urwie się głaz i zgruchoce chatkę spokojnych pasterzy. I z owych lodów odwiecznych, z owych śniegów, co nie zczerniały nigdy pod płomieniem słońca, wytryska potok, dziki, niepohamowany, i zolbrzymieje i spadnie w dolinę i pochłonie trzody swawolnych kóz, wyniszczy plon pracowitych wieśniaków. I zapytasz się: na co? –

A na powierzchni ziemi krzątają się ludy, naokoło codziennej biedy: orzą, by najeść się, i wybudują statki sobie, by zdaleka przywieźć kilka łachmanów nowych, kilka łakoci słodkich dla możnych pośród siebie. – A ramię władzcy porwie te krzętne ludy, te rojące się mrowiska, i rzuci je o siebie, jeden lud o drugi, aż nie zetrą się wzajemnie, aż nie spłoną ich chaty i dobytek ich, aż nie postanie nic, prócz zgliszczy i popiołów. – A na zgruzach miast biesiady zwycięzców, hulanki obcych przybyszy. A gdy zapytasz się ich, po co zanieśli mord i pożogę w spokojne krainy, po co przelali krew braci swoich, po co znieważyli siostry swoje, wtedy ten, co ich przywiódł, wystąpi i z miną dumną, z zapałem w oku: jam posłannik, rzeknie, Pana najwyższego, jam oświaty kapłan, jam prorok ery nowej. – I co zabrali, podzielą między sobą, i pochowają zabitych i urządzą rzecz nową, po myśli proroka ich. I żyją, jak żyli ci, co wyginęli: żenią się i umierają i dzieci

ich to samo czynią. Nastają wnuki i piszą dzieła o wielkich naddziadach: jak przyszli z dalekich stron, jak wojowali dzielnie przeciw dzikim ludom, jak ogłosili prawa rozumne i łagodne, jak wypielęgnowali na łonie swém idee wielkie, święte.– I zbliża się nowa chmura ku pięknym łanom: ciągną nowe tłumy, dzikie, okrutne jak zwierzęta puszcz, z których wyruszyli. A lud idei podnosi się, by bronić wolności swojéj i całéj ludzkości i sławy przodków. I ginie lud ten pod twardemi stopami synów puszczy a przewodnik, okryty skórą, uzbrojony bezlitośną maczugą, rozdzieli tłumom zabrany dobytek, i wygubi wszystko i powie: jam niszczyciel, jam zesłany na niewiernych karę.– I przechodzą tłumy w strony inne: przed niemi wrzawa walki, za niemi stosy trupów i kupy popiołów, aż nareszcie i tłumy te wyginą i przewodnik ich, niszczyciel.– A ty przeczytasz o tem stare wieści i zawołasz w zdumieniu: czyż lud ów pierwszy niewinnych pasterzy nie był szczęśliw, czyż nie żył swobodnie? Jeżeli przeznaczeniem naszém żyć szczęśliwie na ziemi, czemu zatracono szczęście niewinnych synów natury? – Wtedy powiedzą ci, że ten lud wyginąć musiał, bo życie jego tylko letargiem było, bo zaród wszelki oświaty głęboko drzemał w jego zadymionych chatach; potrzeba więc było katastrofy, potrzeba było zewnętrznych wpływów, żeby obudzić go ze snu, żeby zespoić go z żywiołami nowemi, czynnemi, żeby nieruchome ciasto, zaprawione nowym kwasem, weszło w żywotną fermentacyę.– I powiedzą daléj uczeni, że te walki niezmierne, te nieszczęścia milionów potrzebnemi są,

że to chroniczne choroby, po których ludzkość, uwolniona od starych, zgniłych posoków, nowemi siłami posuwa się dalej ku celowi swemu. –

A gdy zapytasz się o cel ten, ku któremu ciągną ludy ziemi, to powie ci jeden, że nim dobrobyt najwyższy, bezwzględny; a drugi zaprzeczy temu, wołając, że ludy dążą do urzeczywistnienia idei ludzkości, do zaprowadzenia królestwa niebios na ziemi, w którém jeden pasterz paść będzie jedną trzodę. Wtedy spełnią się czasy! –

I nowy ciebie zdejmie dziw i zadumasz się nad spełnieniem czasów, nad pasterzem owym i nad trzodą jego, w której wszystkie owieczki jednej barwy, w której ani jednego nie będzie upartego kozła. I zawołasz, cóż będzie, gdy się spełnią czasy? – Wtedy zapewni cię pierwszy, że tylko jeden będzie naród na wszystkich obszarach ziemi i że żyć będzie szczęśliwie, póki będzie na czem, póki wystarczy materyi. – A zwolennik jednobarwnej trzody podniesie oczy w świętém natchnieniu i zaprorokuje z głosem wzruszonym: wtedy wróci téj trzody pan i przejrzy ją raz jeszcze: złe barany pójdą na bok a tłumy powolnych, świętych owieczek przeprowadzi pan do swego królestwa. Tam będzie radość i śpiewy nieskończone. – A wywołasz cienie bramina, co dla wiecznego zbawienia utonął w nurtach świętego Gangesu, to zanuci głosém smutnym, żałośnym: Synu, gdy się spełnią czasy tego świata, to nikt nie zapragnie więcej ni życia tego ni uciech jego, bo świat ten, to ułuda tylko i znikome mamidła. Wtedy utoną wszyscy myślą w odwiecznem

Bram i niebędzie ich więcej. I urodzi się nowy Brama z odwiecznego Bram i odblaskiem jego będzie świat nowy, jak świat zgasły był odblaskiem zmarłego Bramy: i znów te same odgrywać się będą smutki, znów będą prześladowcy i ci, co cierpią, znów boleść obok radości, znów śmiechy i łzy nieskończone. —

I odezwiesz się: gdzież prawda wśród tego zamętu wyobrażeń, wśród tego wiru zdań, które na około mnie kołują? — I uczujesz się więcej niezadowolnionym, niż na początku, uczujesz się więcej samotnym, niż wtedy, gdy raz pierwszy udałeś się do innych po naukę, po prawdę. A jednak nie chcesz pozostać w męczarniach niepewności, jednak pragniesz się dowiedzieć, jaka droga twoja i dokąd cię ona zawiedzie. —

Dokąd to dąży życie moje? pyta się każdy niespokojnie własnego wnętrza i pytano się zawsze, odkąd zaczęła się myśl ludzka. Chciano dowiedzieć się, czy życie nasze cel ma, do którego zmierza, żeby nie chybić mety z nieświadomości; a jeżli życie to bez celu, swawolną tylko jest igraszką, to dobrze i to wiedzieć, żeby żywot podług tego urządzić. I jak każda prawdziwa filozofia zaczęła się od ciekawości, która zdjęła człowieka nad sobą samym, tak po najdalszych zboczeniach, po najdłuższych błąkaniach na obcych manowcach, zawsze wróciła do człowieka. Cóż z resztą po wszelkiej nauce, na cóż poznawać naturę słońca i biegi gwiazd, gdy siebie samego nie znamy, gdy nie umiemy dać odpowiedzi na owo proste pytanie: co to człowiek? —

Odpowiedziano na to nieraz, każdy wiek dołożył starania, żeby wyjaśnić tę zagadkę, a każda generacya smutnie odeszła od pracy,

nie wiele dokazawszy po licznych, wytrwałych mozołach. Dwie drogi przedstawiały się, wiodące do odpowiedzi: jedna od krańców świata do głębi naszej istoty, druga z wnętrza nas samych wyprowadzająca myśliciela na przestrzeń, która go otacza. Drogi te wydawały się zbyt prostemi, zbyt równemi, dla tego im się wesoło powierzano. Ale w miarę chodzenia ustawały siły, w miarę posuwania się naprzód oddalał się cel: wielu ustało w drodze i powróciło i zamiast ujrzanej prawdy głosili oni fatę morganę, która ukazała się zdrojem ochłody wędrowcowi, a była złudnym obrazem zmęczonych zmysłów. Inni szli daléj i pomarli z pragnienia, w rozpaczy. A ludzkość żyła daléj trybem swoim, nie znając prawdy, obywając się, jak mogła, słuchając ciekawie opowiadanych wieści a rzadko wierząc, bo się wydawały w nadzwyczajnéj niezgodzie z otaczającą rzeczywistością. I wybierali się nowi i nie powiodło im się lepiéj. Tymczasem ludzkość rosła w doświadczenie, coraz jaśniéj rozpoznawała otoczenie swoje i droga z nas na zewnątrz stawała się więcéj ubitą i pewną, ale za to powrót stawał się coraz trudniejszym.

Cóż za trudność sprzeciwiała się usiłowaniom wieków tyla? Biedne serce człowiecze, nic innego. Póki rozum bawił zewnątrz nas, póki rozpatrywał otoczenie, wszystko szło jak najlepiéj: wybadał mozolnie zjawiska przyrody, ułożył w grona i kamienne kryształy i liczne roślinne rodzaje i zwierząt stada; przejrzał w głębinach ziemi i wyrachował prawa, podług których spoczęły na sobie jéj różne warstwy;

odgadł i formę ziemi, jak ona powstała z form innych, pierwotniejszych, razem z wieńcem księżycy i planet, które wspólnie z nią wirują na około słońca. Prawda, że wiele pozostało próżni, wiele zagadek i miejsc ciemnych, ale rozum przeskoczył wszystkie, uzupełnił szczerby za pomocą bystrej i lotnej fantazyi. I powstał system świata, dosyć zbliżony do prawdy. Spostrzeżono się wtedy, że ten, który wymyślił rzeczy tak wielkie, który zespolił to, co podobném jest, a rozłączył różnice, że rozum, pan niejako i władzca wszystkiego, sam stał na tronie wysokim, a pod nim głęboko jego sługi, które on pojmował, a które ani jego nie znały ani samych siebie. Wtedy zadrżał z razu z nieznanéj radości, uniósł się dumą nad wielkością swoją, a potem uczuł się samotnym i niesłychanie słabym. Zapytasz się: skąd to nagłe uczucie znikomości, skąd słabość ta po takiem nasyceniu dumy? Czyż rozum poczuł się niepewnym na siedzibie swojéj, czyż tron jego zadrżał w podwalinach i zagroził upadkiem? Rozum był pewien wszystkiego, wyjąwszy siebie: on odgadł prawa wszelkie i zgłębił tajemnice wszelkie, a nie wiedział czemu i za pomocą czego. Gdy odniesie kto niespodziewane korzyści, gdy nad miarę szczęście uśmiechnie się jego zachodom, z niedowierzaniem zapyta, czy zasługą własną dostąpił tego, czy też traf ślepy lub życzliwość innych udzieliły mu części większej błogiego nabytku: tak rozum zadrżał nagle z niepewności, zapomniawszy tak długo o swojem mieszkaniu — a mieszkaniem tem było słabe ciało jego, słabsze nawet i prędzéj znikome od wiele innych

form przyrody, otaczających go do koła. On, co dumnie stąpał po szczytach gór, co kazał się nosić falom na czystym grzbiecie, przejrzał nagle z zadziwieniem, że jak ślimak skorupę z sobą wlecze, bez której obyć się nie może i którą zniweczyć może najmniejsza zachcianka zawistnego losu. On panem wszystkiego, tylko nie ciała swego, biednego dodatku, którego nie wie, skąd dostał, ani, czy przeżyje, gdy kiedyś go odrzuci. —

Przejrzał więc raz jeszcze prawa, podług których ułożyła się materya w tak różnorodne kształty. Nie znał początku jéj, ale mógł ją uważać za odwieczną i uspokoić się tem; co zaś do własnego rodzaju, to wiedział, że nie był odwieczny, że była materya niegdyś w warunkach, wśród których on istnieć nie mógł. Kiedy więc powstał rodzaj ludzki? na to nie było odpowiedzi w przebiegu zmian, jakim była podległa materya. Czemu powstał? i na to nie było odpowiedzi. Zwrócił więc mędrzec wzrok swój na miliony istot mu podobnych, które żyły na téj ziemi od niejakiegoś czasu, czy może w nich nie będzie odpowiedzi na niepokojące go zagadnienie. Ale pamięć ludzi nie zbyt daleko sięgała: pamiętali może kilka tysięcy lat, może kilka miryadów, ale cóż to w porównaniu z milionami wieków, przez jakie tworzyły się ziemia i planety na niebie? O początku swojem nic powiedzieć nie umieli: byli na ziemi i żyli, każdy pracował na siebie i na dzieci swoje, mało dbając o kwestye, które niepokojem napełniały mędrca. Żywot ich toczył

się, jak żywot innych istot ziemskich: rośli i ginęli. Tylko od czasu do czasu wzniósł się pośród nich mąż jaki, bystrzejszego wzroku i głębszego pojęcia, który dał nauki współbraciom swoim, poprawił warunki ich bytu, a na przyszłość zostawił rady i mądre przestrogi. A słowa męża zapisywano chciwie i przekazywano wnukom, i tak żyła sobie ludzkość dalej, prawda nie wśród wielu samych, ale z każdym wiekiem przynajmniej cokolwiek lepiej jej było.

II.

Wszyscy mężowie myśli, którzy pragnęli uczynić coś dla współbraci swoich, szukali ustalenia zgody między człowiekiem a jego czynami. Spostrzegłszy dwa uczucia, nieprzyjazne sobie, rozdzierające w dwie różne strony naturę człowieczą, usiłowali walkę tę zamówić i człowiekowi przywrócić spokój niezamącony. Widząc, że jedne czyny miłe sprawiają wrażenie, a inne znowu złe, i że stąd cała bieda nasza, chcieli, żeby wszystkie czyny tylko miłe pozostawiały wspomnienia. Było to zaś tylko możebnem, jeżeli znanym był cel, do którego zmierzać powinna czynność wszelka: wykazawszy cel, podali raz na zawsze stałą normę, do której zastosować się mogli ludzie, jak majtki się kierują wskazówkami magnetycznej igły, lub też do lustra wielkiego porównać można taki wykaz celu, przed którem każdy stanąwszy z rana, układa draperyę swoją w należyte fałdy. Cel, do jakiego zmierza wszelkie zajęcie ludzi i wszelkie przedsięwzięcie i całe życie, stanowi najważniejszą zagadkę wszelkiego ludzkiego myślenia, bo w tej jednej myśli wszystkie inne zawarte są. Zastanawiając się zaś nad przedmiotem tym, spotkano się z dość prostą alternatywą: albo celem człowieka, wyłączne zajmowanie się samą

sobą, i będzie on samolubem; albo też będzie kochał innych obok siebie i będzie ludzkim. Czasem też może nic nie kochać, ni siebie ni innych, będąc pogrążonym w zimnej, obojętnej apatyi. – Ztąd zawsze byli tacy, co mniemali, że człowiek żyje na to, by mu było dobrze, a drudzy głosili, że się urodził na nieszczęście swoje. –

Zwolennicy pierwszej myśli przypuszczali, że albo istota boska stworzyła człowieka, albo też, że wziął początek swój, skąd reszta materyi: pierwsi mniemali, że człowiek od wyższej istoty owej umieszczonym został w pewnym celu na ziemi, wśród utworów podrzędniejszych, aby używać ich jako środków dopięcia celu, a z ziemi mieć pole działania; drudzy twierdzili, że los człowieka ten sam, co innych form materyi. – Z łona tych mniemań wyrodziła się wiara w bogów lub wiara w materyę: mimo nazwy różnej ostateczna, zasadnicza myśl ich ta sama, t. j. szczęście jednostki, a stąd moralna ich wartość również ta sama. –

Wiara w jednego boga powstała w różnych szczepach semickich, a rozkwitu swego doczekała się u Żydów i Arabów. – Wszyscy prorocy i arcykapłani, którzy uczyli, że istota wyższa jakaś stworzyła świat ten dla nas, że na nim człowieka umieściła, i objrzawszy wszystko, wyrzekła, iż wszystko dobrze, ci wszyscy mężowie znagleni byli wyznawcom swoim zapewnić dobrobyt doczesny, aby wszystkim dobrze było na tej pięknej ziemi. Dla tego wynajdywali od czasu do czasu kraje przyobiecane, opływające miodem i mlekiem, które na rozkaz Jehowy lub Allacha zabierali, a wytępiwszy ród dawny, podzieliwszy się jego chudobą i jego gruntami, mieszkali szczęśliwie i chwalili dobroć stwórcy swego. Jednakże

„Abraham, przez [illegible] posłuszeństwo względem Boga, i połączenie woli swej z wolą Bożą, nad wszystkie inne [illegible].
A Job, który go chwali, kiedy w nieszczęściu [illegible]

i na ludy wybrane przyszły dni klęski i smutku, i wtedy kapłani byli w niemałym kłopocie. Albowiem nie było tak wszystko pięknie na tej pięknej ziemi, nie było wszystko kadź dżdr. – Wtedy niektórzy pocieszali swą struchlałą trzodę, że to dni próby i doświadczenia, że naród cierpiący tak srogo, wyda wielkiego Króla, który zatknie sztandary ojczyste aż na krańcach ziemi; że wtedy dobrze będzie aż na wieki. – Przecież nie jeden ubogi w duchu pozwalał sobie skromną uwagę, że wtedy może dobrze będzie jego praprawnukom i że bardzo się cieszy z tak pewnej obietnicy, iż będą mieli znów chleba i jarzyn wszelkich i mięsa i ryb podostatkiem, ale że przezto smutny stan jego własnej osoby wcale się nie polepszy. Wtedy pocieszano biedaka, że umrze wprawdzie nędznym i głodnym, ale że wróci z grobu kiedyś, z ciałem wypoczniętém i pokrzepionèm, do biesiad ojców i używać będzie wszystkiego podostatkiem. Inni wprost przyrzekali mu szczęście wieczne, skoro brama żywota za nim się zamknie. I kontentowali się tem niebodzy, bo to w świętych księgach stało oddawna tak zapowiedzianém, bo ich kapłani tacy święci byli, tacy nieomylni, tacy natchnieni od dobrego Jehowy. – W tym guście utworzyła się nauka Mahometa, owe zaś przepowiednie o przyszłych, wielkich rozkoszach ziemskich żydowszczyzny i o fizycznèm zmartwychwstaniu pokutowały w głowach różnych sekciarzy, krótko przed wystąpieniem Chrystusa. – W jaki sposób boski prorok z Nazaretu starał się rozwiązać tę trudność, wspomnimy przy systemach drugiego rzędu, bo jemu bynajmniej nie zdawało się, że tu dobrze na świecie. Prawda, że w sektach powstałych pod

jego egidę, mało się zachowało z jego pierwotnej, idealnej nauki, bo za wiele wkradło się żydowskiego optymizmu, za wiele materyalizmu, tak iż Królestwo jego stało się, dzięki następcom jego, królestwem z tego świata.

Podstawa materyalizmu ta sama, co monoteizmu, czy to mnóstwem bogów zaludni świat ten, czy go uczyni potwornem ciałem jakiejś istoty boskiej, myślącej, czującej; czy też wszelki wpływ istot wyższych ogłosiwszy fałszem, ślepy przypadek na tron świata wsadzi.

Politeiści zwykle mało troszczyli się o powstanie człowieka, a węzeł łączący ich z bogami także bardzo był słaby, stosunek do nich bardzo niewyraźny. Używali życia tego i dobrze im było, a ponieważ bogowie bardzo mało związani byli z tym światem i mniej jeszcze nań wpływali, odsunęli ich powoli i ubóstwili materyę, uważając objawy jej doczesne za wszelki cel ostateczny istnienia. Rozpadli się także z doczesnością swoją, dzieje przeszły po nich i nic nie zostało w pamięci ludów. - Materyalizm w te same popadł kłopoty, co monoteizm: i on przyznać musiał, że doczesnym objawom materyi w ogólności a ludziom w szczególności nie zbyt dobrze na tym świecie. Przyczynę wszelkich nieszczęść człowieka odkrył on wtedy w cywilizacyi, pragnął powrócić do pierwotnego stanu natury i żyć jak zwierzęta, czyniąc tylko zadość swym potrzebom fizycznym.

Wszystkie systemata te zgadzają się w dążności ku uszczęśliwienia człowieka, czy to w tem czy w przyszłem życiu.

Naprzeciw tym mniemaniom wystąpiły zastępy pesymistów:

"Świat ułudą jest, a indywidua, po nim się błąkające, owocem są grzechu: każdy nowy objaw indywidualności jest skutkiem aktu grzesznego. Tylko wstrzymanie się od tego aktu, abnegacya wszelkiej cielesności nas wybawi od niedoli. Celem abnegacyi zniesienie indywidualności, to znaczy, świata zmysłowego, z wszystkiemi indywidualnemi formami. Czem zaś będzie życie natury, przestawszy objawiania się w doczesności, na to rozsądniejsi z pomiędzy nich nie dali odpowiedzi twierdząc, że nie masz mostu pomiędzy światem zmysłów a światem nadzmysłowym, że wiedza ludzka tylko w formach doczesności się obraca a nie może wyobrażać sobie tego, co się z pod praw tych uchyla. Oczywiście myśliciele drugiego działu daleko stoją wyżej od owych optymistów: albowiem gdy ci tylko o szczęściu jednostki każdej myślą, która pójdzie pod sztandar ich wiary, uczniowie abnegacyi, czy to z samowiedzą jasną czy to przeczuciem prawdy wiedzeni, wyrzekli, że świat nieszczęśliw, dla tego, że istnieją jednostki. Nie brakło im na prozelitach, chociaż występowali pod coraz nowemi formami i główną myśl swoją przybierali w coraz inne dogmy. Zasługą ich wielką jest, że poznali lub przeczuwali nicość" świata doczesnego; że odgadli, iż ta materya, ciągle zmieniająca się, nie może być bezwarunkową prawdą, że nie może być ostatecznym celem.

Od podobnych wyobrażeń rozpoczął mistrz chrześciaństwa swój mozolny żywot. Systemu jego nie mamy w całości przed sobą: najwięcej głównych rysów przechowało się w listach św. Pawła. Możemy jednakże dość łatwo ową pierwszą myśl odgadnąć. Chrześciaństwo, które powstało w łonie żydowskiego monoteizmu, tylko jeden w nim znalazło punkt

oparcia, jedną podporę: dogmat o grzechu pierworodnym. Ta nauka wspaniała, której nie może jednego człowieka wynalazł, lecz którą wylęgły wieki długie – nauka ta, dawno już przed Mojżeszem powszechnie znana nad św. Gangesem, choć w inną alegoryą przybrana, – znajduje się w starym testamencie dość skartowaciałą. Ona owocem była medytacyi indyjskich filozofów, odkryciem głębokiem wyznawców abnegacyi. Skoro bowiem formy jednostki, pod któremi objawia się materya, wskazane są na zagubę, muszą naturalnie być niedostateczne, ułomne, nieprawdziwym wyrazem idei, którą powinne przedstawiać. W przeciwnym razie istniały by zawsze i nie doznawały by ni zmian miejsca ni wpływów czasu. Jak wszystkie inne jednostki materyi, tak i człowiek, jako indywiduum, wskazany na ciągle powtarzającą się śmierć, a śmierć tę uważano za najlepsze, nieomylne świadectwo, iż początek jego zły. W indyjskiej alegoryi przedstawiano dla tego człowieka jako w grzechu poczętego: Brama bowiem, z którego wyniknął świat cały, dał mu początek w grzesznej zachciance. W świętych księgach żydowszczyzny ta sama myśl ukrywa się w bajce o zbyt ciekawej małżonce Adama: ponieważ jednak tylko życie doczesne mieli na oku w teologii swojej, a o przyszłem nigdzie nie wspominają, przeto myśl owa o winie, ciążącej na rodzaju ludzkim, pozostała bezpłodną, i nie miała żadnych następstw moralnych. Jehowa bowiem każdego dobrego wynagradza doczesnym dobrobytem, który przechodzi na jego potomki – a złych również karze doczesnie i samych i w potomkach. Szczęście więc i nieszczęście jednostki, zależą od woli Jehowy i od wypełnienia jego rozkazów: bezpośredniego skutku

[illegible marginal pencil notes]

grzechu pierworodnego w plemionach żydowskich nigdzie odkryć nie mogłem. Przeciwnie upadek człowieka był jedyną myślą starego testamentu, do której można było przyczepić system nowy, idealny: bo w porównaniu z żydowską doczesnością, pierwotne chrześcijaństwo jest wyłącznie idealnem.
Pogarda świata i miłość bliźniego są piękną treścią jego pierwszych lat: że coś podobnego nie mogło z testamentu starego wyniknąć, o tem świadczy każda strona tej świętej księgi. W co obróciły się jednakże te kardynalne cnoty? Pogarda świata tylko wtedy uzasadnioną jest, jeżeli w niej się mieści pogarda indywidualności w ogóle, gdyż indywidualność jest sumą tego świata. Wszystko więc, co służy do utrzymania, do powiększania, do wyróżniania indywidualności, czy to własnej czy obcej, powinno jako znikome i złudne być odrzuconem, potępionem. Miłość bliźniego zaś wynikiem uczucia, iż w nas i w bliźnim naszym ta sama właściwie istota, tylko pod inną formą doczesną. Zamiast jednakże dojść do zaprzeczania indywidualności, chrześcijaństwo doszło do zachowania jej w nowem życiu, przyszłem. Żeby nielogiczność tę późniejszych doktrynerów ocenić należycie, na to nie potrzeba głębokiej filozofii, potrzeba tylko zdrowego rozsądku.
Przyczyną tego nieszczęsnego zwichnięcia pierwotnej myśli były różne dogmy żydowskiego monoteizmu, domięszane do pięknej prawdy, żeby ją smaczniejszą uczynić i przystępniejszą dla żydów swego czasu. Mamy na myśli dogmat o Jehowie-Stwórcy, który wszystko zepsuł, który stał się robakiem, toczącym piękną rdzeń. Skoro bowiem istota jakaś wyższa, dobra i wszechmocna, pozia_

dająca intelekt indywidualny, a zatem będąca zupełną osobistością, świat cały i ludzi na nim stworzyła, to zrobiła to naturalnie w celu dobrym, bo od dobrego stwórcy tylko dobre rzeczy wychodzą. Na świecie jednak inaczej: wiele złości, wiele biedy i nareszcie śmierć ciągła i niszczenie ciągłe. A znowu zaprzeczanie indywidualności swojej, zaprzeczanie siebie samego, byłoby rzeczą śmieszną, bo staramy się zaprzeczać temu, co stworzonem zostało z woli wyższej. Zrobiono więc z tego świata pole próby, aby tych, co szczęśliwie je przebędą, wynagrodzić na zawsze a tych, co ulegną, ukarać. Są to okropne skutki żydowskiego optymizmu. Nie wchodząc obecnie w to arcyważne pytanie: skąd to my mamy tę pewność, że nas ktoś stworzył, i że życie to ma być przygotowaniem do wiecznej szczęśliwości, pozwolę sobie zrobić kilka uwag drobnych, aby nie zbytecznie oddalić się od przedmiotu mego.

Jeżeliśmy stworzeni z niczego, by potem żyć wiecznie albo wśród nieustającego szczęścia albo wśród srogich kar, wtedy zapyta każdy siebie samego: com zawinił, że mnie wskazują na próby długie i przykre, by potem mnie zrobić szczęśliwem lub potępić na zawsze? Skorom stworzony z niczego i bez woli mojej wrzucony w ten świat, to będę uwielbiał stwórcę, gdy mi będzie dobrze, będę go przeklinał, że mnie wywołał z nicości, gdy mi gorzej będzie, niż w nicości. Można wystawiać kogoś na próbę, czy on zasłuży na szczęście jakie lub nie: jeżeli ulegnie pod probą, to go puścić wolnym i nie troszczyć się więcej o niego. Ale wiedzieć naprzód, że ten, którego stworzyłem, takim będzie, jakim go chcę mieć, bo bez woli mojej nic się nie dzieje; wiedzieć naprzód, że ulegnie

w tej próbie, i jednak go potępić, to okrutnie. Na taką myśl wzdryga się uczucie człowieka. Wtedy stronić tylko od tych, których bym chciał kochać, bo głos natury mnie ciągnie do nich, wtedy nie myśleć o wydoskonaleniu się, wtedy nie zgłębiać tajemnic świata – bo na co to wszystko? Ten świat ułudnym jest i ułomnym, do niego nie mam się przywiązać pod utratą zbawienia! Na co więc wsadzono mnie w świat ten; czy na to, żeby nim pogardzać? Ale czemu mam nim pogardzać? Bo doczesny, bo fałszu pełen, bo kłamliwy, bo cielesny! – Jeżeli świat ten królestwem diabła, jak mówiono dawniej, jeżeli on wskazany na zagubę, to przecież dla tego, że indywidua, które go składają, zginąć muszą, dla ułomności swojej, dla niedołężnego początku; na cóż je jeszcze zachować w życiu przyszłem? Jeżeli jednostka nie może być doskonałą, to przecież dla tego, że czas, przestrzeń i liczba przegradzają ją od swej doskonałości. Zapory te zaś przynosi z sobą na świat. Walczyć przeciw nim, żeby *sobie* zarobić na szczęście wieczne, znaczy walczyć przeciw nim, żeby je zabrać z *sobą* w świat przyszły. Skoro bowiem sądzić nas będą z czynów doczesnych, muszą nas sądzić w formie doczesnej a podobne mniemanie nie ma za sobą ani serca ani rozumu.

Chodzi więc o to, czy człowiek stworzeniem jest, zupełnie odrębnem od reszty świata, mającem cel w zachowaniu własnej jednostki, po za światem zmysłowym, czy też człowiek wynikiem jest żyjącej natury, jak kryształ, jak roślina i zwierzę, wynikiem jednej i tej samej siły, tylko na stopniu nieco wyższym. Takie zdanie nasze o stosunku człowieka do reszty materyi i jaki cel jego prawdopodobny

znajdzie czytelnik na kartach następnych, jeśli go poprzednie nie znudziły.

III.

Wszystko, co zewnątrz ciała naszego, nazywamy światem. Świat przedstawia się nam szeregiem zmian, które wypełniają przestrzeń i odbywają się w czasie; treścią zmian tych jest materya. Wszelka zmiana materyi następstwem jest innej zmiany, która również zrodziła się z zmiany innej, dawniejszej. Zmiana jedna wypełniać może miliony lat, tak iż dla oka i pamięci jednostki, często nie wydaje się posuwającym się ruchem, lecz stałym, nieruchomym stosunkiem. Podczas jednej przemiany takiej, wolno odbywającej się od wieków wiele, żyje rodzaj ludzki; ona wynikiem była przemiany materyi dawniejszej, za czasów której nie było jeszcze ludzi.

Szereg zmian materyi przedstawia nam się, nie jako koło jedno, w sobie zamknięte, lecz jako mnóstwo kół i kółek, które równolegle z sobą się toczą, na około tego samego środka; coraz mniejsze mają średnice, coraz więcej zwarte w sobie, coraz doskonalsze. – Prawdopodobnie był czas, gdzie ziemia, planety i księżyce ich wraz z słońcem jedną niezmierną stanowiły bryłę; z niej wydzieliły się w różnych przestankach pojedyncze ciała niebieskie naszego słonecznego systemu: z jednej ogromnej kuli gazowej potworzyły się kule mniejsze, więcej zwarte w sobie, więcej wyraziste. Jedną kulą taką jest ziemia nasza. Ona nie pozostała w stanie uzyskanym po wydzielaniu się z wspólnego chaosu, lecz od niepamiętnych czasów odbywała na sobie te same

zmiany, które z łona chaosu wydobyły słońce i jego planety. Cechą wspólną wszystkich zmian tych jest dążność pewna od nieokrzesanej, grubej materyi do kształtów swobodniejszych i więcej wydatnych. Po przerażających zwierzętach przedpotowych, po niesłychanych, olbrzymich lasach wieków minionych, nastały istoty o formach mniejszych, regularniejszych, o łatwiejszej i więcej zapewnionej egzystencyi. Nastał niezliczony tłum form organicznych, podnoszący się drobnemi odcieniami i szczeblami, regularnie po sobie następującemi, od małego, nieznacznego mszku do dziewiczych, wysmukłych palm i do ponurych dębów północy, od niewidzialnych infuzoryów do najwydatniejszych ciał zwierzęcych. Postęp i rosnąca coraz doskonałość w ogniwach ogromnego łańcucha, nawet niewprawne oko uderza i napełnia podziwem. Nie mniej jasną jest rzeczą, że całość ta form organicznych nie od zawsze istnieje, lub skądsiś, już zrobiona i wykończona, wsadzoną została na powierzchnię ziemi, lecz że nastąpiła po generacyach innych, dawniejszych; że natura krwią dzieci dawniejszych wychowała następne, że niesłychane wycierpiała bole, niezliczone porzuciła płody niedonoszone, aż na teraźniejszy stan rzeczy się zdobyła.

Z przedmiotów i istot ziemskich jedne do siebie podobne są, inne daleko się różnią; podobne łączą się w grona, grona składają się nieraz w obszerniejsze działy. Podczas przeglądu nawet powierzchownego tych różnych gromad i rodzajów, nastręcza się mimo woli spostrzeżenie, że jednostki bezustannie giną: co rok nowe mrówki, pszczoły nowe; co rok świeże kłosy na uprawnych

łanach. Jednakże mimo zaguby milionów jednostek, powtarzającej się co rok, treść ich pozostaje ciągle tą samą. Od wieków istnieją mrowiska i ule, od wieków wyrastają kłosy. Ta treść wewnętrzna, ukazująca się bez przestanku w coraz nowych jednostkach, jest obrazem rodzaju, jest jego ideą. Idea nie ulega prawom czasu ni przestrzeni ni liczby, ona trwałą jest w porównaniu z jednostką, podczas gdy niezliczone jej objawy w materyi, niewolnice czasu i przestrzeni, doczesne są i znikome. – Im wyższy stopień organicznych jestestw, tem doskonalsze w sobie, tem wybitniejszego charakteru, tem zupełniej przedstawiają ideę rodzaju swego. Materya cała dla nas szeregiem idei, które przedstawiają się za pomocą jednostek, nieustannie przemijających: jedną dłonią natura coraz nowe stwarza istoty, drugą obraca je w nicość. Narodzenie ciągłe i śmierć ciągła, to doczesna szata wszelkiej idei: ona zawsze tą samą, a doczesność jej wiecznie kona i wiecznie zmartwychwstaje. Dwa więc zjawiska widzimy jasno i niezaprzeczalnie: dążność materyi do wydania coraz doskonalszych jednostek i natychmiastowa zaguba tych, które powstały. Dwie siły przeciwne walczą uporczywie, śmierć i narodzenie: przedmiotem ich walki jest indywiduum. Na szczycie wszelkiej indywidualności stoi człowiek, w nim powinna zawierać się odpowiedź na tę dziwną zagadkę.

Rzec można, że rodzaje roślin i zwierząt, które zamieszkały powierzchnię ziemi, przedstawiają nam widok kół ognistych, gorejących na fajerwerkach: jednostki zabłysną i przeminą i zastąpione są przez nowe, a całe koło, choć ogniwa jego ciągle się odnawiają, wiruje na około idei swojej, która jest jego środkiem. –

Kołem takiem toczy się i ludzkie plemię. Jednakże zachodzi ta różnica, że podczas gdy wszystkie inne rodzaje istot żyjących przedstawiają w rotacyi swojej uderzającą stagnacyę, podczas gdy od wieków co rok te same komary zjadane są przez te same jaskółki, te same jaskółki rozszarpane są szponami tych samych jastrzębi, ludzie coraz inne przedstawiają widowisko. Śmiało rzec można, że co wiek inni rodzą się ludzie, że coraz inne powstawają narody, wyższe od dawniejszych, że plemiona ginące coraz inne postawiają po sobie pierwiastki, niż dawniej zatracone plemiona. Ludzkość postępuje rzeczywiście, w skutek czego peryferya, którą się ona toczy naokoło idei swojej, coraz więcej zbliża się do środka swego, podczas gdy koła innych rodzajów żyjących zachowują te same średnice. – Wielu głębokich i szczerych myślicieli nie zważyło na postęp ludzkości: jakie stąd błędy wyrosły w ich systematach świata, wykażemy później. Mniemali, że w historyi wszystko stare dzieje: te same żądze, podstępy, namiętności, ten sam egoizm i ta sama bieda. Przecież uczucie każdego z nas temu zaprzeczy: zawsze żalili się starzy, że nie tak było za ich lat młodocianych, zawsze utyskiwali młodzi, że poetyczniej się żyło i weselej i lepiej za czasów nadziadów. Często smutne takie reflekxye były wynikiem osobistego nieukontentowania, osobistej niedołężności – przecież wiele było w tem prawdy mimo wszelkiej przesady.

Kilka plemion mieszka w sąsiednich sobie krainach: na czele każdego samowolny władzca: jednostka ni żony swojej nie pewna ni majątku ni życia, bo wszystko odjąć mu może wola

samowładnego pana; nawet plemię całe nie zapewnione w byciu swoim, bo drugie plemię, bez wypowiedzenia wojny, bez słusznej przyczyny nań wpadnie, rozbije, zabierze wszystko. A obok tego postaw obraz czasów późniejszych, gdzie już miasta kwitną, gdzie każdy płaci daninę swoją, na utrzymanie całości, wiedząc na co ona się wydaje i radząc o całości, gdzie majątek każdemu zapewniony jest, a gdy przewini, to sam ponosi karę, a spadek zarobku jego przechodzi na dzieci, które nic nie zawiniły – a nie na łup srogiej sprawiedliwości. Czyż nie postęp w tem? czyż nie doskonalsze coraz formy społeczeństwa rozwija historya przed wzrokiem naszym? A jeśli czasem się wydaje, że lud jaki cofnął się o wieki do dawniejszego barbarzyństwa, czyż drzewo umiera, gdy kilka gałązek uschnie? czyż ludzkość się cofa, że kilka cząstek jej zatrzyma się lub osłabnie wśród drogi? Ludzkość posuwa się ciągle, choć krokiem nieraz powolnym, nieraz zachwianym, ale zmierza naprzód – naprzód w nieskończoność. A postęp ludzkości objawia się w coraz doskonalszych formach jednostki, w tem, że jednostce coraz więcej ułatwionem jest używanie i rozwijanie wszystkich sił swoich ku własnemu dobru, które jest dobrem całości. Postęp ludzkości i wydoskonalenie się jednostek jest najpewniejszą podstawą filozoficznego systemu, najważniejszą prawdą dla tworzenia nowych teoryi. Wszystkie filozofie, które zaprzeczyły temu, które zaniechały ważnej tej prawdy, okazały się w rezultatach swoich ostatecznych niepraktycznemi, jak mówią ludzie zwyczajni – i prawda to. Nie że celem filozofii wymyślanie praktycznych nowych sposobów dla ziemskiego dobrobytu – zadaniem jej, zgłębiać prawdę wszech rzeczy. Ilekroć od prawdy przez nię

ogłaszanej odwraca się generacya jedna i nie chce jéj pojąć, to nieszczęście niewielkie, bo przyjdzie ród inny, który ją zrozumie. Ale gdy od filozofii jakiéj przez wieki całe ludzkość odwraca uporczywie twarz swoją i zatyka uszy na jéj wykłady, to za prawdę wina systemu a nie ludzi, to nagana przynależy się mistrzowi, a nie uczniom. Historya osądziła już nie jeden system i wyrzekła swój wyrok potępienia: epikureizm przebrzmiał i stojicyzm dumy i Spinozy nauki. Ludzkość pełna zaufania i żądna oświaty rzuciła się nieraz w objęcia tych nauk, aż nareście poznawszy czczość ich, doznawszy nudoty zamiast zachęty, rozpaczy zamiast pociechy, odrzuciła je i zwróciła się ku nowym. –

Większość czytelników razem z nami wierzy w postęp ludzkości; wykazać teraz wypada, dla czego możliwym się stał, dla czego konieczny jest i uzasadnionym w składzie całej natury.

IV.

Przyczynę, dla której człowiek niesłychanie wyższy od zwierząt, upatruję w rozumie. Za pomocą rozumu tworzymy i zestawiamy pojęcia i wyciągamy z nich wnioski; zdatność ta zwierzętom została odmówioną. Każde pojęcie abstrakcyą jest, powstałą z mniejszej lub większej liczby jednostek, przez zatracenie cech, właściwych jednostce, a zachowanie tych tylko, które wszystkim są wspólne. Zwierzęcy intelekt pojmuje imiona własne, obraz jednostki weń wchodzi, ale nigdy obraz rodzaju. Człowiek umieściwszy wszelkie rzeczy téj ziemi w kategoryach najrozmaitszych pojęć, obejmuje je wszystkie i sam tylko z istot ziemskich zna wszystko, co na ziemi jest.

Dziwnym sposobem obraz rodzaju na świecie nigdzie nie istnieje, wyjąwszy w umyśle człowieczym. Od niepamiętnych czasów rodzą się konie i giną: miliony tych zwierząt przesuwają się po ziemi, a każde z nich ma coś właściwego sobie, którem się różni od innych. Ale to co wszystkim wspólne jest, obraz rodzaju, który co rok odnawia się w tysiącach jednostek, typ konia nie istnieje jako zjawisko materyi, istnieje tylko jako abstrakcya materyi, jako pojęcie w naszym rozumie. Wynik tych słów nadzwyczaj jasnym jest: pobyt człowieka w szeregu istot ziemskich uzasadnionym jest, nawet niezbędnym, bo stojąc na końcu szeregu, mieści on w umyśle swoim typy wszelkich innych rodzajów. – Wszelkie formy materyi mają tylko ograniczone istnienie, podlegając wymaganiom czasu, przestrzeni i liczby; bezwarunkowo istnieją one wyłącznie w rozumie ludzkim: tam od wieków jaśnieją obrazy rodzajów wszech rzeczy jako pojęcia i brzmią przez usta człowiecze od wieków jako słowa.

Przypomnijmy sobie, że obraz rodzaju jest środkiem i że naokoło niego wirują doczesne jego wizerunki; obecnie te rozliczne centra wszech rzeczy odkryliśmy w człowieku. On jest skarbnicą, w której złożone są typy wszelkiego ziemskiego istnienia: zewnątrz niego jednostki prowadzą żywot swój krótki, ułomny, zawisły – w nim zaś żyją rodzajowe formy wszech rzeczy, a ponieważ tylko ich istnienie niezależnem jest od kaprysów przypadku, od granic materyi, przeto śmiało wyrzekniemy, że wszelkie objawy materyi, niższe od człowieka, w nim są i w nim żyją, stale i niezmiennie.

Człowiek wszystkiemu, co jest, nowe daje życie w rozumie swoim, i to siłą własną, którą od urodzenia posiada. Czemu to się dzieje, na to odpowiedź tak trudna, jak na zapytanie: czemu istnieją zęby? lub: czemu powstał granit? Są to funkcye materyi, które odbywają się, ponieważ natura tak chce, czyli jaśniej mówiąc, ponieważ dawniejsze zmiany materyi wydały takowe w swoim następstwie. Ta sama siła natury, która sprawiła, że kwasoród i wodoród, gdy zejdą się w stosunku 1:2, ciałem nowém się stają, wcale do nich niepodobném, t. j. wodą, ta sama siła sprawiła, że pierwiastki, które w różnorodnych stosunkach złączone wydały rośliny i zwierzęta, nareście ułożyły się w stworzenie, któremu na imię człowiek. — Materya nam tylko znaną jest jako ciągle zmieniająca się: dla nas istnieje ona od wieków, przebywszy i przechodząc niezliczone zmiany form swoich. Że po między formami temi stanął nareście człowiek, rzecz to dla nas arcydziwna, bo nie możemy odpowiedzieć na pytanie: czemu jest? Albowiem nie znamy dokładnie dawniejszych zmian materyi, które poprzedziły jego narodzenie. — Istnienie materyi od wieków, zmieniającej się bezprzestannie, wyda się każdemu rozumowi, wolnemu od przesądów, bardzo prostą i dostępną myślą; mniemanie zaś, że powstała w czasie, a tem samem kiedyś w czasie zaginie, wyda się po dłuższém rozmyślaniu pojęciem niedokładném i pełnem sprzeczności.

Jak więc natura zechciała niegdyś, żeby istniały rośliny i zwierzęta, każde w swoim rodzaju, tak również aktem jéj woli, żeby była istota, w której umyśle każda rzecz przez się stwo-

rzona, odradza się raz drugi, na drodze abstrakcyi. Gdyby człowieczy intelekt, podobien do zwierzęcego, spostrzegał tylko otaczającą go obecność, nie pojmując ani związku jéj z przeszłością ani wpływu jéj na przyszłość, odbywałby życie codzienne zwierzęcia, a doszedłszy drogi swéj krótkiéj, obracałby się potem w nicość. Tymczasem człowiek, obdarzony rozumem i pamięcią, widzi jasny obraz generacyi dawniejszych i zastanawiając się nad nim, nabiera pewności, że życie rodzaju jego nie zamknięte w granicach jednéj generacyi, jak życie roślin i zwierząt, lecz że każda generacya następna zbliża się więcéj do pewnego celu. Cel ten oznaczyć on może, rozważając historyą swego rodzaju i układ własnéj natury. Dążnością każdego stworzenia jest, zostać jak najdokładniejszym wizerunkiem rodzaju swego, a cechą wspólną rodzajów jest indywidualność. Indywidualność jest to suma sił, które złączyły się w całość sobie wystarczającą. Podczas gdy w roślinach i zwierzętach, jednostka nieprzebytą tamą oddzielona jest od swojéj indywidualności, i każda generacya w tem samem znajduje się oddaleniu, rodzaj ludzki zbliża się do indywidualności swojéj, każda jednostka coraz więcéj dochodzi do urzeczywistnienia w sobie idei rodzaju swego. Podczas gdy indywidualność skończona innych istot ziemskich tylko w umyśle ludzkim istnieje, ale im samym na zawsze została odmówiona, indywidualność człowiecza, oprócz idealnéj swéj egzystencyi, mieści w sobie możebność zrealizowania się kiedyś w jednostkach. Postęp ludzi możliwym jest, ponieważ każdy oglądać może obraz swojéj doskonałości: obrazem tym jest ludzkość, jaką się ona przedstawia od czasów swego powstania. Do tego obrazu

mamy tylko kilka rysów: jeden z nich całość lepiej ułoży, drugi gorzej. Żeby zaś otrzymać te rysy pierwotne, obliczyć i porównać trzeba ogon wszystkich indywiduów i oznaczyć sumiennie, co właściwie z nich pozostało. Rezultat będzie może obrazem ludzkości. Widzisz morze o powierzchni wezbranej falami, a wystaw sobie morze to o pogodnem, przejrzystém obliczu. Tylko tu i owdzie widzisz małe miejsce spokojne wśród ogólnej wrzawy, i to na chwil kilka: widzisz fale, jak giną i rozlewają się i stają się na chwilę równiną, to są twoje dane, a z nich odgadnij przezroczą, zwierciadlaną całość, o spokojnym, wspaniałym widoku. Kto rozwiąże podobne zadanie, ujrzy niewątpliwie obraz ludzkości, będzie mógł pomodlić się doń, i ukazać innym, a nawet zbliżyć się i przystąpić, jeżli siły wystarczą.—

Człowiek dwoistym jest pośród utworów natury: ciałem wskazany na życie jednostki, a rozumem ma udział nieograniczony w życiu rodzaju. Zwierzę idzie za żądzą swoją, słuchając tylko pobudek, znajdujących się w obrębie jego zmysłów, żyje wyłącznie w teraźniejszości; człowiek obok motywów teraźniejszości widzi obrazy rodzajów wszech rzeczy, tak przeszłe jak przyszłe, i podług nich urządza swe czynności i sprawy w teraźniejszości.— Gdzie dwojstość, tam i sprzeczność jest, tam niezgoda. Ilekroć osoba jaka z samą sobą w niezgodzie, mówimy że nie naturalnie działa, gdy zaś całkowita harmonia panuje w jej ruchach i czynach, mówimy że naturalne one są. Zwierzę zawsze będzie naturalnem, wyjąwszy gdy człowieka naśladuje, dla tego nas bawi i zajmuje: ono szczerém jest i otwartém, ono kłamać nie umie, bo jest dzieckiem teraźniejszości i w niej żyje. Tylko człowiek z sobą w niezgodzie jest: z ciała bowiem

należy do teraźniejszości i słucha pobudek otaczającego go świata. Tymczasem przypomina sobie przeszłość i pamięta na przyszłość, on myśli i podług myślenia tego urządzić chce swoje czyny. Gdy mu się to uda, powiemy, że działa rozumnie, z rozwagą; przeciwnie, gdy za pobudką teraźniejszości pójdzie, mówimy, że nierozsądnie działa, że unosi się, że słucha popędów ciała. Ciało i myśl są w walce, burzliwość i niesforność pierwszego sprzeciwia się spokojowi myślenia. Cóż to są te myśli? są gmachem wystawionym z pojęć, a wszystkie pojęcia są nazwiskami rodzajów wszech rzeczy. Ciało i myśl są w walce, znaczy więc, że jednostka nie chce słuchać praw ogółu, że indywiduum sprzeciwia się widokom rodzaju. Życie ciała wybucha tłumem uczuć, skupionych i zamkniętych w sercu naszém; obrazy zaś owe rodzajów wszech rzeczy, owe pojęcia, złożone są w rozumie jako w skarbnicy wszelkiego myślenia. Powiemy przeto nie mniej prawdziwie, że walka się toczy między uczuciem a rozumem, między sercem a głową. Całe życie człowieka jest walką nieustanną tych dwóch pierwiastków, każdy czyn jego wynikiem jednego z nich: jeżli serce odniosło tymczasowe zwycięstwo, ono pobudką będzie naszych akcyi, jeżli rozum zwycięży, on nam narzuci swe prawa. Można dojść do stanu, w którym oba pany zamilkną, gdzie serce będzie głuche na pobudki dnia dzisiejszego, a rozum nie uważać będzie ani na przyszłość ani pamiętać nie będzie przeszłości. Będzie to stan cichej, oderwanej od wszystkiego kontemplacyi, życie abnegacyi – albo wegetacya raczej, bo już nie masz walki, a więc ani zwycięstwa ani czynów żadnych; każdy bowiem czyn ludzki wynikiem zwycięstwa, odniesionego lub sercem,

lub też rozumem.

Niemasz czynu bez pobudki, ale pobudek zawsze wiele, i decyzya trudna, bo serce i rozum ubiegają się o pierwszeństwo i chcą obydwa swemu widzimisię zapewnić wybór. Pytanie więc, po której stronie pozostanie ostateczne stanowcze zwycięstwo. Serce ma za organ perceptionis fantazyę, która przyjmuje w siebie obrazy jednostkowe, i z nich różne układa kombinacye, zupełnie tak samo, jak rozum przerabia swój materyał, którym są pojęcia czyli obrazy rodzajowe. Obrazy rodzajowe (pojęcia) powstały z obrazów jednostkowych, jakie wciskają się do fantazyi z otaczającego ją świata, za pomocą zmysłów. Rozum każde zjawisko teraźniejszości, każdą formacyę materyi podsumuje pod pewną kategoryę pojęć, gdzie mu się wydaje należeć: dopiero rozpoznawszy miejsce, jakie zjawisko to zajmuje w rzędzie pojęć umysłu, decyduje, w jaki sposób serce do przedmiotu tego ma się zachowywać. Serce uważamy za sumę żądz i za organ wszelkiego działania. Fantazya przeciwnie bierze przedmiot takim, jakim się obecnie przedstawia, nie pytając się wcale o przeszłość jego ani o przyszłość, przekazuje go sercu, a serce zajmować się nim będzie w miarę miłego lub niemiłego wrażenia, jakiego odeń dozna.

Fantazya inaczej działa i rozum inaczej, dla tego czyny, wynikające z ich działań, najczęściej się różnią. Rozum nie interesuje się nigdy przedmiotem samym, lecz stosunkiem, w jakim on pozostaje do innych rzeczy. Stosunek ten pociąga za sobą decyzyą, bez względu na to, czy osobie rozumującej miłą ona jest, lub nie; fantazya zaś wcale się nie pyta, jak przedmiot ten ma się do innych, pyta się tylko, czy on miłym jest, lub nie – i podług tego się porywa. Dla tego serce w teraźniejszości się obraca i chce działać natychmiast, a nie

lubi zastanawiać się, owszem sprzeciwia się temu wielce; rozum znowu, gdy dostanie się w obręb teraźniejszości nie znanej, gdy ujrzy na około siebie przedmioty niezwykłe, którym nie naznaczył jeszcze porządku w myślach swoich, waha się i prosi serce o kilka chwil odwłoki, by swobodnie oddać się reflekszyi.

Serce człowiecze kocha albo tylko siebie albo siebie i innych. Wszystkie objawy życia, wszystkie przedsięwzięcia i czyny, powodowane samém sercem i czerpające pobudki swoje z fantazyi, z doczesności, odnoszą się z ostatecznym celem swojim albo wyłącznie do subjektu, albo do subjektu i objektu.

Rozum nie kocha nic: jednostki, z formą doczesną, podlegające prawom czasu, przestrzeni i liczby, nie obchodzą go, bo nie może im dać gościny w siebie. Tylko formy stałe u niego przechowują się i są przedmiotem jego rozważań: takiemi okazały się nam wyłącznie pojęcia rodzajowe, których formę zewnętrzną stanowią słowa. Wszystkie czyny człowieka, powodowane samym rozumem, rodzaj tylko będą miały na oku i pozwolą na istnienie jednostki, o ile interes rodzaju tego wymaga.

Przecież arcyrzadko człowiek powoduje się w czynach swojich wyłącznie jednym z dwóch wymienionych kierowników, a o milionach ludzi powiesz, że im się to nigdy nie przytrafia. Powiedzieliśmy, że przed każdym czynem serce i rozum walczą o wybor pobudki i o pierwszeństwo; po rozstrzygnieniu walki zwycięzca przewodzi, ale zwyciężony nigdy nie zamilknie zupełnie. W zwyczajnym biegu świata prawie nigdy nie widzimy działania, zupełnie pozbawionego czy to rozumu, czy serca: obydwa pierwiastki zlewają się i stabszy

zawsze wpływa nieco na pierwiastek mocniejszy.

V.

Serce zajmuje się objawamy doczesności, które ciągle odnawiają się i ciągle zmieniają swą formę; rozum zajmuje się treścią, która w tych wszystkich formach, ginących i odradzających się bez ustanku, pozostaje niezmienną i stałą. Serce więc reprezentantem doczesności jest, rozum wyobrazicielem wieczności. Wieczność dla nas zawsze relatywną ma wartość; jest to czas, który był przed powstaniem jakiegoś indywiduum i potrwa jeszcze po jego zagubie: rodzaj koni n. p. w porównaniu z pojedynczym koniem daje wyobrażenie wieczności, bo był przed powstaniem jego i trwa jeszcze po jego śmierci. Gdyby była istota wskazana wyłącznie na życie doczesne, a przytem obdarzona rozumem, widząca obrazy wieczne a równocześnie żyjąca jak zwierzę z dnia na dzień – nie mielibyśmy widoków żadnych załatwienia sporu między doczesnością a wiecznością, między formą zmienną a treścią niezmienną, między sercem a rozumem. Życie takie byłoby prawdziwą męczarnią, bo to niesłychana męczarnia, widzieć obraz doskonałości a nie mieć sposobu dosięgnienia go, żyć z dnia na dzień i umrzeć z przekonaniem, że po nas takie same nastaną istoty, wskazane jak my na życie dzienne, bez możebności wybawienia się z tego jarzma. Byłoby to życie zwierza, skombinowane z pamięcią i z myślami człowieka; pomyśleć coś podobnego niepodobnem jest. W człowieku zaś, skoro ziche, owe obrazy rodzajów, owe wizerunki niezmiennej doskonałości, wpływać mogą na jego czyny jednorazowe, doczesne. Przeto

postęp umożebnionym jest i zarazem zrozumiałym; widząc bowiem obraz doskonały naszego rodzaju, możemy się doń zastósować, potem coraz więcej uczynić podobnymi. Dzieje człowieczeństwa nas przekonywają, że postęp taki rzeczywiście się odbywa, że jednostka staje się coraz doskonalszą i coraz godniejszą, by wyobrażać w sobie całą ludzkość. Rozwiązanie więc sporu łatwém jest. Przyjdzie czas, gdzie ludzkość dojdzie szczytu doskonałości swojéj, gdzie jednostka powie: „jam ludzkość, we mnie obraz ów, który natura chciała wydobyć z łona swego i dla którego tyle niezliczonych zniszczyła objawów doczesnych, niewykończonych i ułomnych, żeby nareście postacie nastały całkowite i doskonałe." Wtedy nie będzie sporu między sercem a głową, bo sercem każdy wszystkich będzie kochał, a rozumem będzie rodzaj cały widział w każdéj jednostce; wtedy jednostka nie będzie obojętną rozumowi, nie będzie mu pyłem małym, oderwanym od całego kłębu, lecz będzie całością wykończoną, piękną i prawdziwą, odpowiadającą zupełnie idei swego rodzaju. A sercu ogół nie będzie obojętnym, bo wybór niepodobny między równymi, gdy wszyscy te samą przedstawiać będą doskonałość, te same uczucia i te same myśli. Wtedy miłość będzie ogólną, bo wszyscy będą szlachetni i szczerzy, wtedy fałszu nie będzie, bo wszyscy prawdziwy obraz swój mieć będą przed wzrokiem ducha. Nim przyjdzie ten czas, przejdą może tysiące lat razy tysiące, ale on przyjdzie, bo nigdy nie przerywa się dzieło żadne, rozpoczęte w łonie materyi: natura doprowadza je do końca, by odpocząć potem z boleści długowiekowego porodu.

Co się wtedy stanie z rodzajem ludzkim, przepowiedzieć nie podobna, bo doszedłszy do doskonałości swojéj, zrealizowawszy ideę swoją w wszystkich

jednostkach swoich, wyjęta, ona będzie z pod praw czasu, przestrzeni i liczby, a więc z pod zmysłów jednostki: rozum jednostki, który bez tych form nic pojąć nie może, takiego stanu rzeczy bliżej oznaczyć nie umie. Zresztą naprzód zbliżyć się trzeba do celu, a doń daleko jeszcze, daleko. Droga doń niesłychanie długa i mozolna, ale wśród fatyg pełna nieznanych rozkoszy. Dwaj przewodnicy przyświecają nam na drodze tej: serce i rozum. Ludzkość powoli tylko dokończy drogi, jednostki daleko prędzej i łatwiej.

Serce, które tylko siebie kochało, a więcej nic, rozum który tylko doczesność zgłębiał na użytki własnego serca, noszą w sobie zarod śmierci, bo natura gubi indywidua dla tego, że złe są i nieodpowiadają idei rodzaju swego. Człowiek więc, co nie kochał nic, prócz siebie, co nie widział nic, prócz siebie i użytku swego, umiera garścią prochu, która na nowo odradzać się będzie, aż nie dojdzie celu swego. Bo tak chce natura wszechwładna. Ale człowiek, który kochał innych, który widział siebie samego w bliźnim swoim, ten umiera z uśmiechem zadowolnienia, bo on wyprzedził innych na drodze i dobiegł celu; on nie należy więcej do materyi odradzającej się, do świata doczesnych walk i zaburzeń. Złamawszy szranki istoty swojej, zwyciężywszy czas, przestrzeń i liczbę, które go nie dzielą więcej od bliźniego swego, słuszna jest, by usuniętym został z świata doczesności i wszedł do świata, gdzie nie ma ani czasu ani przestrzeni ani liczby ani jednostek więcej. Świat ten dla naszych zmysłów zamknięty, o nim mówić nie będziem. –

Również mędrzec prawdziwy, co zgłębiał prawa świata, co prawa dawał i nauki równym swoim, które przez wieki następne jaśnieją dla przyszłych pokoleń, jako gwiazda wśród ciemnej nocy pokazuje drogę

zbłąkanemu pielgrzymowi: i mędrzec taki unieważnił prawa doczesności:
Albowiem rozumem przeskoczył je i zgłębił to, co wyższe nad czas i przestrzeń i liczbę: za życia już wolny w myśleniu i działaniu i niezależny od granic wszelkich materyi, usuwa się z pod praw jednostki, a wskazawszy pokoleniom przyszłym, jak je zwalczyć można, przechodzi do świata, gdzie już nie masz ani przestrzeni ani czasu ani liczby, gdzie rozum nasz towarzyszyć mu nie może.
Miłość nieustanna i myślenie nieustanne wspólnie zawiodą ludzkość kiedyś do celu i wybawią ją od więzów doczesności. Dnia owego, kiedy to nastanie, znowu peryod jeden spełniony będzie w rozwoju materyi – i rozpocznie się nowy, który wynikiem będzie spełnionego.
A więc naprzód – naprzód w nieskończoność. –

Szkoła Eleatów.

Wrocław we wrześniu 1865.

Ogłoszone po raz pierwszy
w Bibl. Warsz. na czerwiec 1866.

1. Wstęp.

Tajemnicza Azya hojnie wyposażyła swoje ludy, wyprawiając je w świat daleki: dała im na drogę ziarna zboża i ziarna mądrości, a plon z nich wyrosły żywi po nasze dni starą Europę. A nawet później, gdy ludy Europy wyszły na mężów, gdy nawet pamięć straciły starej swojej kolebki, nigdy nadaremnie nie zajrzały do niej. Ilekroć Europejczyk stanął choćby na wybrzeżu matki ludów, nowa siła weń wstępowała i udzielała mu natchnienia do wielkich myśli i do czynów wielkich.

Z indo-europejskiej familii pierwsi Grecy doszli lat pełnych, dojrzawszy szybko pod niebem Azyi; tam po raz pierwszy pierś ich natchnęła się śpiewem wieszczym, tamże raz pierwszy umysł ich przejrzał i doszedł do świadomości własnego jestestwa. Był to czyn Jończyków, którzy osiadłszy na cudnych wybrzeżach Archipelagu i na wyspach żyznych, od dawna już śpiewali o nadziadach swoich i nad naturą przemyśliwali, gdy pobratymcze im szczepy w Europie drzemały w głębokiej nieświadomości.

Na wyspach Samos i Chios, w dumnym Milecie, w Kolofonie i w Efezos w siódmym wieku przed naszą erą poezya bohaterska już okwitła, sterczała jak konary drzewa bez liści wśród jesieni. Co stary Homer i jego krewni z Chios niegdyś wyśpiewali, umiano na pamięć, przekazywano dalej pokoleniom nowym, ale na nowe epopeje sił już nie starczyło. Czasem wprawdzie pokusił się ktoś o sławę nowego poety, powtarzając stare rzeczy w nowej formie; chwalono go lat dziesiątek, a potem z inną modą inne nastały rytmy, aby przebrzmieć po latach kilku jak poprzednie. Albowiem umysł Jończyków niestałym był, ich zachcianki prze-

mijały szybko, jak pory roku. Już młode pacholę przechadzało się po porcie wśród niezliczonych statków, wyglądając powrotu ojca swego lub krewnych. Zgiełk go otaczał zewsząd gwarliwy, kupcy i majtki ówczesnego świata na około niego się uwijali: mieszkaniec Tyru i Sydonu obok pokornego żyda z Jaffy, obok śniadych Egipcyan i chytrych Kartagińczyków. A ile bander greckich z Peloponezu i z Sycylii i z Tracyi i od ujścia Donu zawitało do portów Miletu lub Efezu! A ile ludów ciągnęło z Azyi mniejszej do tych miast portowych! aż od podnoża Araratu przybywali, żeby zamienić coś z przybyszami zamorskimi. Wśród tego zgiełku i zlewu ludów wyrastał młodzieniec joński i zaprawiał się do życia; z razu ojcu towarzyszył w dalekie podróże, później sam przerzynał fale morskie w wszelkich możebnych kierunkach. A w sile wieku z dobytkiem sporym osiadał w mieście rodzinnem, szukając nagrody za przebyte trudy. Szybko zapracować i szybko używać, było maksymą jego, przekazaną mu od ojca, szybko żył a zachcianki jego następowały po sobie z równym pospiechem. Co dzień nowe biesiady i nowe śpiewy, bo stare go nudziły, co miesiąc nowy krój szaty i nowe parfumy, żeby popisać się przed obcymi.

Ale szał biesiadny nie trwał bez przerwy wszelkiej, w Azyi mniejszej ważyły się losy wielkich ludów. Już to lidyjskie wojska podsuwały się pod mury greckich miast, żeby domagać się daniny, już to tłumy Medów ciągnęły na poskromienie Lidów, to znowu hordy dzikich Scytów napełniały wszystkie te kraje niezmiernym postrachem. Wtedy nie było czasu ucztowaniom, wtedy trzeba było obwarowywać wieże i ostrzyć miecze, a poeci narzekali, że dłonie mężów stalną, że już nie są do łuku ni do oszczepu, i gniewnie wymawiali współziemianom swoim ich miękkie obyczaje, ich gnuśne, lekkomyślne pożycie.

Z resztą, Fończyk był pojętny i bystrego rozumu: myśli nań tłumnie się waliły. Tyle widział krajów, tyle różnych ludów o innych wiarach i o innych obyczajach. Porównywano więc i szukano prawdy; od dawnych mitów zwracano się do natury i w niej szukano odpowiedzi na liczne nasuwające się zagadki. A największą z tych zagadek był początek wszech rzeczy: skąd powstał świat ten, tak wielce ich zajmujący? skąd się ubrał w formy tak piękne, a przecież tak znikome? Prawda, że już stary Homeros dał był odpowiedź, że Okeanos ziemię opasający takową ze siebie wydał, że on ojcem wszystkiego. Ale to bajka była, którą dawny wieszcz usłyszawszy gdzieś przybrał w dźwięczną formę; ludziom zaś rozsądnym, jakimi Fończycy byli, potrzeba było myśli, ujętej w jasne pojęcia. Bo od wyobrażenia rozpoczyna się poezya, filozofia przechodzi do pojęcia.

Stąd Tales około r. 610 wyrzekł, że woda początkiem świata, że wszystko z wody powstaje i do niej powraca. Stary mędrzec poetyczny obraz Homera wcielił w formę naukową, to jego zasługa; dlatego na wpół nazwać go można filozofem, gdy jego druga połowa należy się jeszcze poezyi. Dopiero przyjaciel jego Anaximenes myśli swoje o świecie ułożył w system, trzymając się głównej idei poprzednika swego. Oto w kilku słowach mniemania jego, o ile urywki po nim pozostałe dały się ułożyć w jedną całość:

"Nieskończona natura jedną jest, choć z niezliczonych, różnych, wielce odmiennych rzeczy się składa. Albowiem różnice, które dzielą jedną rzecz od drugiej, trwają tylko do czasu; jedna przechodzi w drugą, gdyż natura ciągle się przemienia. W niej zawarte są wszelkie znamiona, uwydatniające się w ciałach przyrody; podczas gdy ona tworzy nieskończenie swoje nieustające wiry, schodzą się znamiona owe, stósownie do pokrewieństwa swego i układają się w kształty, przerywające jednostajność natury. Przecież wszystkie

te kształty i nawet światy całe zostają ciągle w objęciach nieskończonej natury, a po niejakim czasie muszą zaprzestać odosobnienia swego, wracać do jednostajnej całości natury i w tejże utonąć.

2. Xenofanes.

Takie panowały mniemania w Jonii, gdy w Kolofonie urodził się Xenofanes, prawdopodobnie r. 569, z ojca Orthomenesa, którego inni zowią Dexiuszem.[1] Miasto jego w ówczas sławnem było wśród azyjskich osad, jego bogactwa i wojska wymieniano pośród pierwszych. I Muzy lubiły przebywać w tem mieście: w liczbie wielu innych dość wspomnieć czułego Mimnerma. Xenofanes, jak inni Jończycy, przepędził lata młodzieńcze pośród poetycznego szału: do tylu istniejących już utworów dorzucił własnych. Środkiem życiodajnym jońskiego społeczeństwa była biesiada, koło niej zbierały się najwykwintniejsze głowy, koło niej brzmiały najlepsze płody młodych śpiewaków. Jedna z xenofanowych pieśni biesiadnych zachowała się przypadkiem,[2] załączamy dosłowne jej tłumaczenie:

"Teraz bowiem posadzka już czystą, czyste ręce biesiadników i puchary czyste: jeden na głowę kładzie pleciony wieniec, drugi czarę podaje z wonnemi miry. A pośród nas stanął dzban wesołości pełen i nie zabraknie wina w pucharach, wina słodkiego, pachnącego kwiatami, a wszystko napełniło się dziewiczą wonią kadzideł."

---

1)

2) Athenaeus, "deipnos": XI. p. 462. Fragmenta Xenofanesa umieścił Mullach w "fragmenta philosophorum graecorum". Paryż 1860. U niego jest to frgm. 21.

"Oto chłodna woda jest, miła i przezroczysta, oto chleby żółtawe leżą, a jasny stół ugina się pod serem i pod miodem tłustym. Ołtarz w środku sali, z wszech stron obsypany kwiatami, a śpiewy i biesiadna ochota zajęły dom cały."

"Ludzie zaś poczciwi najprzód boga powinni sławić pobożnem słowem i przemową czystą, aby po ofierze i modlitwie sprawiedliwie poczynać sobie mogli. Albowiem sprawiedliwe czyny pierwsze miejsce mają, o towarzysze moi, nie zaś pochwałe postępki. Pić zaś tyle przystoi, abyś zaszedł bez przewodnika do domu, chyba żeś bardzo już stary."

"Chwalmy zaś z mężów takiego, co przy pucharze dzieje sławnego męstwa opowiada, jak mu je pamięć przywodzi i serce. Nie opowiadajmy walk Titanów ani walk olbrzymów ani spraw Kentaurowych, wymysłów dawnych mężów, ani o kłótniach naszych nie mówmy, bo to czas zabija bez korzyści żadnej – ale o bogach pamiętajmy zawsze w myśli pobożnej."

W utworze tym przebija skromność i wstrzemięźliwość, zalecane przez poetę, bo o nie trudno było w Kolofonie. Zbytek jakiemu ulegli obywatele, wytyka inny urywek, wyjęty zapewne z epicznej powieści, w której poeta później wystawił dzieje ojczystego grodu. Powiada o swoich ziomkach [3]), że "wyuczywszy się od Lidów zgubnej lekkomyślności, gdy jeszcze nie znali straszliwego jarzma, przychodzili na zgromadzenia w purpurowych szatach, pysząc się co nie miara, chełpiąc się z włosów pięknie ułożonych, owiani zapachem przyprawnych olejków."

Ale sława Kolofonu chyliła się do upadku. Cyrus zburzywszy tron Aliatydów w Lidji, wysłał Harpagusa na podbicie osad greckich. Miasta zaczęły się poddawać. Wtedy Ksenofanes dwudziestopięcioletni, jak sam opowiada [4]), opuszcza

[3]) Athenaeus deipnos: XII. p. 526, u Mullacha frgm. 20.

[4]) Diog. Laërt. IX. 19.

rodzinne progi i wynosi się do Hellady.

W Atenach, mówią, słuchał różnych filozofów, co zapewne wymysłem późniejszych exegetów, bo mało wtedy krzątano się tamże koło filozofii, a więcej daleko około poezyi. Dom Pizystrata zgromadził na około siebie znakomitych znawców poezyi i artystów wielkich. Bawili tam Lazos młody, nauczyciel Pindara, i Simonides, a z wyspy Samos, dokąd wspaniałomyślny i hojny Polikrates nie mniej przywabiał poetów, często nie jeden w odwiedziny zawitał do Aten, jak Anakreont, który tam później osiadł na dobre, jak może i Ibikus.

Dodajmy ruch literacki, krzątający się koło ułożenia pieśni homerowych w jedną całość zaokrągloną, którem przedsięwzięciem z rozkazu Pizystrata kierowali Onomakrytos Ateńczyk i Zopiros z Heraklei; dodajmy nareście poezyą (narodową) rodzimą, którą przyczepioną do tajemniczych imion Orfeusza i Muzeusza, kontynuowano bez przestanku – a obraz będzie dość ponętnym dla młodego myśliciela o bujnej wyobraźni, żeby powierzyć się falom tak ruchliwego życia. Duszą wszystkiego był, zdaje się, Onomakryt, wyborny znawca poezyi i sam poeta. Dokonawszy zbioru homerowych pieśni, z równą gorliwością postanowił starą poezyą mistyczną, przypisywaną powszechnie Orfeuszowi, i różne starodawne przepowiednie w całość jednę zebrane ułożyć. Ponieważ zaś na temże polu sam z niejednym utworem już się był popisał, uległ pokusie, iż niektóre wyrocznie i pobożne himny sam napisawszy podsunął Orfeuszowi. Tak przynajmniej opiewa denuncyacya, z którą wspomniony już Lazos do ateńskich kapłanów pośpieszył: ci zgrozą niewypowiedzianą przejęci wymusili na rządzie ukaranie fałszerza ksiąg świętych. Onomakrytos poszedł na wygnanie, z którego później przecież wrócił. Towarzyszem jego także Xenofanes miał zajść: zaproszony bowiem przez Lazosa

wśród zebrania jakiegoś towarzyskiego na kostki, odmówił; może uważając grę za rzecz nieprzystojną, jak nam tłumaczy Plutarchos,[5] może też z innych powodów.

Zapyta się tu czytelnik, na co tak szeroko rozpowiadamy o rzeczach, które z Xenofanesem mało mają styczności, na co tyle zachodu, żeby małą do niego przyśpilać anekdotkę o Lazusie. Przecież i na dal jeszcze, choćby z urazą czytelnika, mówić będę niby od rzeczy. Albowiem, jeżeli w naszych czasach życie myślicieli i poetów, mimo najdokładniejszych wiadomości, niezrozumiałem jest, gdy nie uwzględnimy stosunków, wśród których wyrośli, ludzi pośród których się obracali, czasów w których działali, zapewne więcej jeszcze trzeba uwzględniać data historyczne, w przypadku, gdzie tak mało wiemy, jak o największej części ludzi starożytnych. Zachowały się o nich pojedyncze zapiski w pisarzy, nieraz kilku wiekami od siebie przedzielonych, a choć wszystkie te drobne i niezupełne podania ułożymy razem, zawsze wiele pozostanie próżni, gdzie brak szczegółowych wiadomości o jednostce zastąpić trzeba obrazem całego społeczeństwa, którego jednostka ta częścią była; inaczej obrazu żadnego mieć nie będziemy, tylko kresek kilka i niepowiązanych rysów. Jeszcze więc jedno zboczenie, nieuniknione, ostatnie w żywocie Xenofanesa, poczem bez przerwy wszelkiej pospieszymy do celu.

Wszelka grecka filozofia, czy to jońska czy inna, wyłoniła się powoli z mitologii. Gdy dwie wielkie odnogi poezyi epicznej, dziejowa i pouczająca, w Homerze i Hezyodzie dosięgły były szczytu doskonałości swojej, rozbiły się one w mnóstwo słabych utworów, któremi uczniowie przedłużali i zastępowali czynność swoich mistrzów. Przecież myśl grecka nie zatrzymała się w rozwoju swojim, owszem nowym podrzutem weszła na drogę nową, która wyższą była

---

[5] de vitioso pudore p. 530 (t. VIII. p. 103 ed. Reiske)

od dawniejszych: nastała poezya spekulacyjna. Po starych tracyjskich wieszczach, którzy niegdyś schodzili z gór swoich do greckich krain, głosząc kult nowych bogów, Apolina, Bakchosa, zachowały się były ułamki różne, a gdy w nich upatrywano źródło wszelkiej nadziemskiej mądrości, znaleźli się niebawem mężowie zdatni, którzy niedostatkowi obszernych mistycznych utworów, zaginionych podobno, własnemi zaradzali płodami, podszywanemi pod powagę sławnych owych, prawie przedpotopowych wieszczów. Zjawiły się nagle różne stare przepowiednie, hymny stare, może częściowo wiarogodne, a na tle tem rozwijała się nowa epopeja, którą nazwiemy teologiczną. Z czasem, w dalszym postępie, tylko forma poetyczna się ostała, z treścią abstrakcyjną, dla której nie miano jeszcze prozy daleko odpowiedniejszej. Nowi poeci-teologowie na kształt dawnych rapsodów ciągnęli po Grecyi z miasta do miasta, z tą jedyną różnicą, że poprzednicy ich śpiewali o bojach, staczanych pod Troją i o błędnych wędrówkach Ulixa, a oni wykładali o początku świata i o powstaniu wszech rzeczy.

Takim był Epimenides z Krety, kapłan Apolina, który za czasów Solona zdjąwszy z Aten zmazę krwi rozlanej, uwolnił je od zarazy; takim był Arysteas niejakiś, głoszący kult Apolina, który tego dokazał, że dusza jego rozstawała się z ciałem i doń powracała podług upodobania swego; takim nareście był Abaris, który jeszcze w czasach Ksenofana jako prorok i cudotworca i kapłan Apolina pielgrzymował po Grecyi, odziany scytyjską siermięgą, zbrojny łukiem i strzałami Apolina, wiodąc życie bogobojne i pokutne. Ogniskiem zaś podobnej poezyi były Ateny: tam najwięcej zachowało się z jej pierwotnych utworów i najwięcej powstawało nowych. Onomakrytos ułożył z nich, jak już wspomniano, „teologię Orfeusza" a ta stała się księgą zakonu dla wszystkich, którzy niezadowolnieni z wiary ludu, doma-

gali się głębszych tajemnic. O powstaniu świata tajemnice te mniej więcej tak brzmiały:

„Początkiem wszech rzeczy jest czas, który nie zna początku ni przerwy żadnej, z niego powstał chaos, bezdenna przepaść, w której noc i ciemne mgły zamieszkały, a razem z chaosem powstał eter ognisty, pierwiastek życia i kształtu. Pod wpływem czasu owe mgły chaotyczne, wirując na około eteru, utworzyły się w jaje niezmierne, które po długiem wirowaniu dojrzawszy, nareszcie pękło: jedna skorupa stała się niebem, a druga ziemią, z jądra zaś wyszła istota dziwna, promienista, Fanes czyli "światłość pierworodna" – Φάνης πρωτογόνος – Fanes poślubiwszy Noc i prodziwszy długi szereg bogów, od ostatniego z nich, od Jowisza pochłoniętym został, w skutek czego Jowisz mianuje się Wszechbogiem – Πάνδεος – będąc niebem i ziemią i wszystkiem, cokolwiek na niej jest."

Oto urywek mały z orfickiej teologii: nie jest to poezya ani też filozofia, jest to hermafrodyta należący wspólnie do obudwóch. Pod wpływem tej teologii zostawał Ksenofanes, zostawał i Parmenides, a po nich wielki poemat Empedoklesa ten sam znak nosi na sobie. Wszyscy ci mężowie nie są zwykłymi poetami, ale filozofami także nie są, jakimi byli Platon i Arystoteles. Dla oznaczenia zaś wpływu, pod jakim zostawali, rozwodziliśmy się dłużej nieco, niż przystało, nad tym dziwnym rodzajem greckiej literatury.

Młody Ksenofanes zaznajomił się więc w Atenach z tym kierunkiem ówczesnym greckiej myśli, a obok formy poetycznej i mistycznego na świat poglądu, wynosi z tych studyów pogardę religii ludowej i wiary dawnych poetów, z którymi zresztą już go domowa filozofia poróżniła. Z takim zasobem myśli rozpoczyna on około r. 540 pielgrzymkę przez

helénskie kraje, ciągnąc jak rapsody ówczesne z miasta do miasta i jak oni śpiewając przed zgromadzonym ludem. Składem wiersza i mową do nich podobien, przedmioty wcale insze w pieśniach swoich opiewa. Mało z nich zostało, dosyć zawsze, żeby jego sposób myślenia odgadnąć.

"Wy słuchacie z upodobaniem pieśni Homera i Hezyoda i przyklaskujecie onym, chociaż przypisali swoim bogów wszystko, co tylko pośród ludzi przynosi hańbę i naganę; niezliczone sprawy bezbożne o bogach rozgłosili, że kradną, że cudzołożą i że nawzajem się oszukują." [6] Ale dziwić się temu nie można, prawił dalej, bo śmiertelnicy mniemają, że bogowie się rodzą jak oni, że ich mają zmysły, ich głos i ich kształty [7]. Zwierzęta nie inaczej by sobie postąpiły: gdyby woły i lwy ręce miały lub umiały malować i tych samych rzeczy dokonać, co ludzie, toby konie robiły bogów swoich podobnymi do koni a woły do wołów, kształt im taki dając, jaki same mają [8]! Czyż ludzie inaczej sobie postępują? W Etiopii znajdziesz bogów czarnych, o spłaszczonych nosach, w Tracyi jasnookich, z płowemi włosami. Med i Pers tworzy bożków na podobieństwo swoje, a w Egipcie twarze boskie przypominają twarze krajowców [9].

Tak pouczając ciągnął dalej wieszcz filozof "przerzucając się z miasta do miasta", [10] a coraz dalej na zachód. Nareszcie stanął w Sycylii. Tam wśród nowych ujrzał się stosunków, wśród nowego życia. Greci nie od dawna tam gościli, ledwo od stu lat usadowili się na żyznej Trynakryi i na

---

6) Sextus adversus mathem. IX. 193 (u Mullacha frgm. 7.)

7) Clemens Alexandr: stromat. V. p. 601 c. (frgm. 5 w zbiorze Mullacha)

8) Id. ibid. (w zbiorze Mullacha frgm. 6)

9) Id. stromat. VII. p. 711 B.

10) Bergk, corpus poëtarum lyric: graec. p. 380.

przeciwległych wybrzeżach Italii, walcząc nieustannie o życie swoje i o dobytek swój. Już to dzikie plemiona krajowców opierały się rozszerzaniu ich osad; schodząc z gór corocznie, pustosząc greckie zagrody, niszcząc zasiewy pól, podsuwały się nieraz aż pod miejskie mury; to znowu kupczący Fenicyan, co od niepamiętnych lat przesiadywał na wyspie, uważając ją za swoją, wysyłał przeciw Grekom najemników i łączył się ściślej z chytrymi synami Kartaginy, żeby wspólną dłonią wypierać niebezpiecznego rywala. Ale wytrwałość grecka usuwała wszelkie przeszkody; miasta rozkwitały jakby po deszczu żyznym, a w nich wspaniałe świątynie, przestworne gimnazya, cieniste portyki z marmuru. A ruch gorączkowy ogarnąwszy strony owe, wzmagał się nieustannie przybywaniem nowych osadników, gdyż wszelkie plemiona Grecyi wysyłały tam swoich synów. Tutaj doryjska osada, a dwie mile na północ miasto jońskie, sąsiadujące z przybyszami z Tracyi lub z nad morza czarnego. Stara Grecya odbiła się zupełnie w córce swojej, którą nawet Wielką Helladą przezwano: te same różnice życia, myślenia, mowy; samowładztwo jednego pana obok rządów arystokratycznych, sąsiadujących często z oligarchią lub ze swawolnem gminowładztwem. A przecież wszystkie te różne gminy łączyły się węzłem duchowym: poczucie Greka dzieliło ich od dzikich górali i od wykształconych Semitów.

Po nad tą wrzawę miast greckich, których ludność z wszystkich krańców świata przybywała, wznosił się głos jeden poważny, przenikający wszystkie inne, wiążący je w ładną harmonią. Była to filozofia doryjska, dzieło wielkiego Pitagorasa.

Podczas gdy Jończyk przebiegał ziemię, odwiedzał ludy najodleglejsze i z niemi wchodził w umowy; podczas gdy płody ich krajów, ich obyczaje i myśli przywoził do domu, rozbierał je, porównywał, całą przyrodę ogarniając wzrokiem ducha: poważny Doryjczyk przesiadywał w swojej zagrodzie, uprawiając rolę, pasząc

trzody i sposobiąc się w zabawach do wojennego rzemiosła. Trudniej pojmował i wolniej od swego pobratymca Jończyka, nie łatwo ulegał wrażeniom chwili, ale skoro im dozwolił przystępu do swojej męskiej piersi, wtedy wyryły się na niej, jakby na miedzi. Podczas gdy Jończyk szukał siebie w naturze, Doryjczyk znajdywał całą naturę w sobie; Jończyk zagadkę swego istnienia upatrywał w świecie zewnętrznym i tam domagał się na nią odpowiedzi, Doryjczyk warunek i przyczynę bytu swego mniemał, że znajdzie we własnej swojej istocie. Dla tego Jończyk zapominał o sobie, marząc o naturze, a Doryjczyk mniej dbał o naturę a więcej o siebie. Stąd równocześnie z jońską myślą uchwycić można myśl doryjską, snującą się nieprzerwanie od najdawniejszych czasów aż do Platona. Obie myśli wychodzą z mitologii świętej i wręcz sobie przeciwne, walcząc ze sobą, rozwijają się samodzielnie, aż na końcu znużone walką bezkorzystną, zapragnąwszy usilnie zgody, dostąpiły jej w Platonie. Skąd ich różnica? Istniała ona w dawnych podaniach mitycznych o powstaniu świata. Homerowi się zdawało, że Okeanos ojcem wszystkiego: myśl tę uchwyciwszy Tales, przekształcił Okeanosa na wodę. "Woda początkiem wszystkiego." Ale gdzie jeden tylko pierwiastek, tam bóg zakuty w materyą, czyli początkowa materya bogiem, który wszystko ze siebie wydając wszystkiem jest. Jończycy nigdy pierwiastku bożego nie oddzielili od materyi, dla nich bóg zawsze deus immanens, przebywający w świecie i wszystkich częściach jego.

Inaczej Hezyod. U niego nie substancya jakaś płynna, sama się poruszająca, staje się wszystkiem, co jest, lecz do bezkształtnej, niepewnej masy, którą chaosem przezwał lub nocą, przystępuje siła inna, eter czyli czas, niekiedy też Erosem się zowiący. Czas działa na chaos i z niego układa pojedyncze rzeczy. Oto dwa pierwiastki: czynny, układający a bier-

ny, układany. Myśl tę wręcz przeciwną jońskiéj myśli, opanowała, jak wyżéj wyłożyliśmy, orficzna teologia i zrobiła ją podstawą obszernéj spekulacyi; myśl tę samą podjął także Ferekides Doryjczyk, jak Tales na wpół poeta, na wpół filozof, pędzący życie samotne na wyspie Syros. Dla niego Jowisz czyli Czas i ziemna materya istnieją od wieków; wolą Jowisza materya ułożyła się w kształtną całość. Z Ferekidem stare podanie łączy nazwisko Pitagorasa: był uczniem jego i przyjacielem. W każdym razie Pitagoras pierwszy doryjską myśl o świecie wyłożył systematycznie; naukę jego streścimy temi słowy:

„Na początku była wielość ni oznaczona ni ułożona i jedność działająca, mająca w sobie byt i jestestwo; wielość owa bez kształtu wszelkiego i ładu marną była i znikomą, a jedność boska i rzeczywistą. Ta jedność boska układa ową wielość, przenika ją, wyznacza jéj kształt i granice, zamienia ją w szereg ściśle oznaczonych jestestw, stanowiących ogół natury. Materyą tych istot jest owa pierwotna wielość, a jedność w nich przebywająca jest formą ich; ponieważ zaś wielość oznaczona jednością niczem inném nie jest jak liczbą, przeto cała natura szeregiem liczb, w których boska jedność panuje nad nieboską wielością. Nie wszędzie w równéj potędze panuje. Gdzie wielość przeważa, tam ciało ulega zagubie i na nowo się odradza; istota zaś w któréj jedność przeważa, wybawioną jest od śmierci. Tak zaś wszystkie liczby, czy parzyste czy nieparzyste, w tem do siebie podobne są, że każda z nich zawiera w sobie jednostkę, tak kształty przeróżne tego świata układają się w jedną całość, połączone między sobą boską jednostką.”

Podobne nauki szerzyły się w Sycylii i w południowéj Italii, gdy Ksenofanes przybył w owe strony. Pominęliśmy wiele innych, które były ich wynikiem logicznym lub zastosowaniem do potrzeb powszedniego życia, n. p.

wędrówkę duchów z ciała w ciało, i miłość braterską, krzewioną w zakonach Pitagorejczyków. Xenofanes wtajemniczył się w te nauki, a gdy od dawnych bogów oderwała go niechęć i pogarda, rozbudzona filozofią natury, jakiej uczono się w Azyi, niechęć podniecana silnie tajemniczemi dogmatami ateńskich teologów, a gdy również i jońska filozofia nie rozwiązywała mu wszelkich pytań stawianych, cóż dziwnego, że z czasem został Doryjczykiem z ducha. Przejście z resztą nie było nadzwyczaj stromem: Pitagorejczycy celowali w badaniu natury, łącząc gruntowność doryjską z żywością i przenikliwością Jończyka. Xenofanes nie czuł się między nimi obcym zupełnie: jak niegdyś w ojczyźnie, tak i teraz zastanawiał się nad przyrodą i z niej wydobywał odpowiedzi na różne trudne zagadki. Ale i postęp zrobił niezmierny, przyłączywszy się do Pitagorejczyków: zapoznał się z ideą uroczystego spokoju, on, dla którego świat cały był w ruchu nieustającym. Jego życie tułacze, jego badania, liczne bez wątpienia ale dorywcze, mogły się nareszcie skupiać na około jednej myśli; chwiejący się wiecznie Jończyk znalazł nareszcie podporę. Podpora ta, jak widzieliśmy, była w każdém doryjskiem sumieniu; potrzeba tylko było zastanawiać się nad sobą samym, żeby jéj dostąpić. Kto ciągle w ruchu, ciągle z miejsca na inne miejsce się przenosi, ten o sobie nie wiele myśli, więcéj zaś o zewnętrznym świecie, odmieniającym się na około niego, jakby cudna jaka fantasmagorya. Jeżeli gdzie, to w szkołach Pitagorejczyków dostąpić można było spokoju duszy i poznać siebie samego, gdy uczeń w pokornem milczeniu słuchał słów mistrza, a przez dzień cały, na zabawie i w ogrodzie, przy biesiadzie i podczas modlitwy, zawsze obracał się w małém kole dobranych przyjaciół, dla których nie miał tajemnicy żadnéj, którym odsłaniał tajniki duszy swojéj, gdyż i on czytał w ich własnych duszach.

Wszystkie te przemiany dziwne przeszedł Xenofanes, ale nie zapominajmy, że już starym był, gdy w owe strony zawitał, że istota jego moralna już dokonała swego rozwoju. On milczał, słuchając słów Pitagory i uczniów jego, ale milczenie to

więcej znaczyło niż słowa, bo pod jego powłoką układał się nowy system, zuchwalszy od pitagorejskiego, to prawda, ale większy i doskonalszy. Tak bowiem bez wątpienia rozumował o systemie Pitagorasa:

„Natura rozpada się na jedność i na wielość, bo raz nam się wydaje całością, w sobie zamkniętą, a w całości tej znowu rozróżniamy nieskończoną ilość odrębnych istot. W tem Pitagorasowi trudno zaprzeczyć. Również ma racyą, jedność ową nazywając boską i w niej tylko upatrując prawdziwe istnienie, owe niezliczone zaś istoty, wydobywające się z owej jedności, odsądzając od wszelkiego istnienia. Ale myli się Pitagoras, twierdząc, że wielość uzyska istnienie za pomocą jedności, że jedność wstępując niejako do niezliczonych istot świata, przeniknieniem swojém je do życia powołuje. Bo skądże miało powstać to, co już jest, co już istnieje? z rzeczy nieistniejącej nie mogło ono powstać, to jasna, ale również nie mogło się ono z czegoś już będącego urodzić. Albowiem wtedy byłyby dwa rodzaje istnienia; ~~[illegible]~~ rodzące istnienie i urodzone, skąd w istnieniu byłaby różność i niepodobieństwo."

Tak mniej więcej myślał Xenofanes. A uznawszy niedostateczność nauki owej, mniej się jeszcze wachał występować przeciw pojedynczym jej częściom. Mianowicie wędrówka dusz nie bardzo mu się podobała: żartował z niej publicznie, rozpowiadając nawet o Pitagorze samym, nie wiemy czy prawdą, że pewnego razu na przechadzce usłyszawszy skowyczenie szczenięcia, uderzonego przez kogoś, oburzył się wielce i napominał sprawcę temi słowy: "wstrzymaj się, nie bij więcej! to dusza nieszczęśliwa jednego z moich przyjaciół, poznałem go po głosie." Tak przynajmniej opowiadał Xenofanes: czy prawdę mówił, nie wiemy.[11]

Przecież nie poprzestał na ujemnej krytyce; postawił nową naukę. Oto treść jéj główna:

---

11) Diog. Laërt. VIII. 36.

„To, co jest, nie powstało znikąd, świat więc, skoro istnieje, powstać nie mógł[12]; istnieje on jako jedność, bez wszelkiej w sobie wielości i bóstwem jest.[13] Bóstwo to, które my światem zowiem, zawsze sobie równe jest, nie mieszcząc żadnych różnic w sobie;[14] nie jest ono ani skończonem ani nieskończonem,[15] nie porusza się, a w ruchu także nie jest, bo orzeczenia takie zmysłowych rzeczy się tyczące, bóstwa się nie imają. Bóstwo[16] jest jakoby kula, równa i jednostajna we wszystkich kierunkach, a ponieważ nic nie zachodzi wspólnego między światem zmysłowym a bóstwem, nie można nawet powiedzieć, że boski sferos, kula owa, rozprzestrzeniona jest, raczej ją kropką nazwiemy pojedyńczą, gdyż ta najlepiej ideę bóstwa wyraża."

Wielki to zaiste był pomysł, jak na owe czasy, oczyścić bóstwo z wszelkich przymiotów zmysłowych, w które grecka mitologia swoje bogi przybrała, znieść wielobóstwo i postawić jedność bożą, w niczem nie podobną do wymysłów ludzkich. Ale cóż począć z światem? Skoro prawdziwe istnienie i rzeczywiste życie tylko bóstwu przypisać się godzi, jaką miarę istnienia zostawić ziemi? A jeśli ona wcale nie istnieje, to na co ona jest? w jakim stosunku zostaje ona do boga, źródła życia wszelkiego? na co ten marny niebyt nasz obok wiecznego bytu bożego? Na te straszliwe pytania odpowiedziano później z nie-

---

12) Euseb. praep. evan. I. 8, 4.

13) Sextus, Pyrrhon. I. p. 225; porówn. jeszcze Plato Soph. p. 242 D. Aristot. Metaph. I. 5.

14) Origen. philos. p. 18.

15) Tak trzeba zrozumieć owe słowa u Sympliciusza in Aristot. phys. fo. 5; stąd wytłumaczymy sprzeczność w podaniach późniejszych, co do sposobu, jakim rozumieć wypada owo ἕν Xenofanesowe. Wyraźnie mamy tę naukę wyłożoną w książeczce, przypisanej Arystotelesowi: lib. de Xenophane, Gorgia, Melisso c. 3 - nie cytujemy przecież tego źródła, gdyż zawięty spór o autentyczność jego i o miarę wiarogodności, jaką przypisać mu trzeba, nie rozstrzygniętym jeszcze.

16) Cicer. Academ. IV. 37, 118. Simplic. in Aristot. phys. fo. 25.

ścisłą konsekwencyą; Xenofan za nadto umiłował przyrodę, żeby ją zaprzeczyć zupełnie; tak daleko nie wyparł się nigdy jońskiego pochodzenia. Wszak już w ojczyźnie swojej śledził pilnie objawów życia natury, a i później wśród podróży swoich nie zaniechał tych studyów: w Paros i w Melicie zbierał muszle i rozpoznawał składy ziemi, a przybywszy do Sycylii nie mniej naturą się zajmował. W Syrakuzach bawiąc zstąpił nawet do kopalni i tam odkrył skamieniałe resztki fok i ryb morskich [17], skąd wyciągał wnioski różne o formowaniu się ziemskiej powierzchni. Tem zamiłowaniem w przyrodzie wytłumaczymy jego niekonsekwencyą, że obok nauki o rzeczywistém istnieniu postawił drugą o świecie zmysłowym, oddzielną i w żadnym związku z pierwszą.

„Na około nas niezliczone rzeczy powstają i giną, mając początek swój nie w bycie owym rzeczywistym bożym, lecz w innych znikomych rzeczach, po których nastąpiły teraźniejsze, a i te na nowo innemi zastąpione będą. Ten łańcuch życia i śmierci snuje się od wieków, stanowiąc szereg zmian jakiejś wiecznie się przemieniającej wielości, wszelkiego bytu rzeczywistego pozbawionej. Wielość ta mieści w sobie rozdwojenie, odbijające się w dwóch przeciwnych sobie żywiołach [18], w płynnym, czyli wodzie i stałym, czyli ziemi. Ziemia w kierunku od nas odwrotnym rozciąga się w nieskończoność [19], powierzchnia jéj niegdyś była pokrytą morzem, skąd resztki zwierząt morskich po dziś dzień na lądzie stałym znajdujem. [20] Ztąd też morze słonném jest, gdyż rozpłukane w niem cząstki ziemne nadały mu smak taki. [21] Ale ziemia nie pozostanie taką: po latach wielu przyjdzie woda

17) Origen. philos. c. 4.

18) Aristot. Metaph. I. 4 i 5.

19) Idem de coelo II. 12.

20) Origen. philos. c. 4.

21) Id. ib.

i pokryje ją na nowo, zacierając wszelki ślad życia na niej, a gdy woda znów zniknie z powierzchni, podniosą się z pozostałego mułu nowe istoty żyjące, aż i te kiedyś zagładzonemi zostaną od wody. Walka ta między żywiołem płynnym i stałym wiecznie toczyć się będzie: czasowe zwycięstwo jednéj strony zamazanem zostanie zwycięstwem drugiéj strony również czasowem tylko.

Nad ziemią rozciąga się eter nieskończony[22]: w nim wyziewy podnoszące się z powierzchni ziemi zgęściwszy się w chmury, ciągną po nad naszemi głowami gorejąc, aż nie przygasną jak żarzące się węgle.[23] Co dzień nowe słońce, nowy miesiąc, nowe gwiazdy nam przyświecają, bo z każdém ranem nowa zapali się chmurka, która ku wieczorowi spaliwszy się znika. One ciągną w prostéj linii naprzód w nieskończoność, choć się zdaje, że się w kole obracają, dla odległości swojéj. Czasem chmura taka nie dokończywszy drogi zaczyna gasnąć: mówimy wtedy, że się słońce lub księżyc zaćmiły.[24] A zjawiska różne, które nieraz się okażą, błyskawice i nocne meteory, także niczem innem nie są, jak chmurki małe, które nagle się zatliwszy, również szybko się spalą. A tęcza, owa piękna bogini o wielobarwnéj szacie, która u Homera i w podaniach ludu piastuje godność boskiéj posłaniczki, czem ona? chmurką wielobarwną, niczem więcej.[25] Wapory zaś dżdżyste, gorącem słońca wywabione z morza, gdy się wbiją w górę, pozostają zwykłemi chmurami....[26] Przecież cały świat ten wiecznie się zmieniający nic nie wyobraża w sobie z owéj boskiéj jedności, trwającéj w niezmienności swojéj, jak i w téj nawzajem nigdy wielość powstać nie może.

Takie dwie sprzeczne między sobą i nie pogodzone nauki wyłożył w poemacie

---

22) Aristot. de Xenoph. liber, c. 2, 32.

23) Stobbaeus, eclog. I. 522 i 550. Origen. philos. X. 6 sq.

24) Stobb. eclog. I. 534. Origen. philos. X. 6.

25) W zbiorze Mullacha frgm. 25.

26) Diog. Laërt. IX. 19.

"o naturze". Utwor ten był ostateczną formą, pod jaką system swój ogłosił: bolesnego sporu, jaki w nim samym się toczył od lat młodocianych między sercem, ciągnącem go do przyrody i między rozumem, odsłaniającym mu prawdę w abstrakcyjnych myślach, nigdy nie załatwił; pozostawił go nierozstrzygniętym i uniósł go ze sobą po śmierci w świat inny. Bawił w ostatnich latach zwykle w miastach jońskich, do których go pociągał wspólny język i wspomnienia młodości. Mieszkał w Zankle, później w Katanii. Na końcu osiadł w Elei. Elea była to osada Fokejczyków z Jonii; słuszniej ją Nową Fokeą nazwiemy, bo dawnej już nie było. Fokejczycy, gdy upadła potęga Krezusa pod ciężką stopą Cyrusa, oparli się mężnie Harpagusowi, który na rozkaz pana swego zabierał miasta greckie na wybrzeżach Azyi mniejszej. O ich mury ogromne z ciosanych kamieni rozbiły się wszelkie usiłowania Persów; nareście mieszkańcy znużeni długim oporem wsiadają na statki z wszelkim dobytkiem swoim, aby nową wyszukać ojczyznę. W Chios pobratymcy przed nimi bramy zamykają, wracają więc w rozpaczy na powrót do Fokei, którą tymczasem obsadzili Persowie. Wyrznąwszy nieprzyjacielską załogę i zawaliwszy ujście portowe, przekleństwo rzuciwszy na wszystkich, co się odłączyć chcieli od wspólnej wyprawy, śmiało puszczają się w świat daleki aż do Korsyki, gdzie niegdyś założyli byli osadę w Alalii. Ale ścigani bezustannie od Tireńczyków i od flot Kartaginy przenoszą się po wielkiej bitwie morskiej nierozstrzygniętej do Regium a ostatki z nich wybudowały sobie w Lukanii miasto Eleę czyli Hyelę.

Tutaj osiadł pośród nich wiekiem i tułactwem skołatany Ksenofan; "sześćdziesiąt lat, mówi z westchnieniem, błąkałem się niespokojnie po heleńskiej ziemi."[27] Gdy rozpoczął wędrówkę, miał lat dwadzieścia pięć. O pobyciu jego w Elei mało co wiemy. Miasto nie zbyt dawno założone, urządzało się i nie raz zapewne mieszkańcy

---

27) Diog. Laërt. IX. 19. W zbiorze Mullacha frgm. 24.

nachodzili sławnego gościa swego o radę. Musiał więc choć niechętnie wynurzać się z przekonaniem swojem, czy to w kwestyach religijnych czy to innych życia publicznego.

Miasto postanowiło wprowadzić kult Leukotei, czczonej w wielu miastach nadmorskich; zwała się zaś Leukotea za czasów pobytu swego na ziemi Inoną. Ino była to córka Kadmusa, a ratując się przed obłąkanym mężem swoim Atamasem, który godził na życie jej syna Melikerta, rzuca się z dzieckiem w morze, gdzie przez boginie morskie przyjęta, wraz z dzieckiem dostąpiła nieśmiertelności i godności boskiej. Odtąd zwała się Leukoteą. Czczono ją zaś ofiarami i smutnemi, żałobnemi śpiewy, zapewne na pamięć nieszczęść przez nią wycierpianych. Ksenofanes więc zapytany o zdanie dał odpowiedź taką: Jeżeli Leukotea boginią, nie potrzebne żałosne treny, jeżeli zaś śmiertelniczką tylko była, niestósowne wasze ofiary.[28] – W sprawach zaś sądowych był przeciw używaniu przysięgi, twierdząc, że bezbożny lepiej na niej wychodzi od poczciwego.[29]

Zdaje się z resztą, że nie gustowano bardzo w jego spekulacyach, że daleko więcej zajmowano się igrzyskami i gimnastycznemi ćwiczeniami. Albowiem działa się nie mało, że skoro ktoś szybkością nóg swoich lub dzielną pięścią odniósł zwycięstwo w Olimpii, że go wtedy na publicznych widowiskach sadowią na pierwszém miejscu, że kosztem państwa żywiony jest i wielki podarunek odbiera, a choćby sam nie wiele wart, tylko końmi się popisał, równe nagrody odbiera. "A przecież mądrość moja, dodaje z urazą filozof, lepsza od silnych mężów lub koni. Nierozsądnie poczynacie sobie, siłę zwierzęcą wyżej ceniąc od dobréj mądrości. Bo cóż miastu z tego, że w niém się pięścią ktoś odznacza lub szybką nogą lub inną zgrabnością jaką? czyż lepsze stąd prawa nastaną? Że ktoś

---

[28] Aristot. rhetor. II. 23

[29] Idem, rhetor. I. 15, 29.

nad brzegiem Piry[30] w igrzysku odniósł pierwszeństwo, śpichlerze miasta tem się nie napełnią."[31]

Z wyżej przytoczonych wierszy wynika, że miał już lat dziewięćdziesiąt dwa, gdy Eleę sobie obrał na stałe siedlisko, lub, jeżeli już dawniej tam mieszkał, że wtedy zaniechał myśl wszelką nowych wycieczek. Jak długo jeszcze pożył, niewiemy; czy przewyższył sto lat, jak twierdzi Cenzorynus[32], nie wiadomo. Czy umierał z przekonaniem, że dotarł do krańców mądrości, trudno pomyśleć: starożytni skromniejsi byli od filozofów naszego wieku. Mawiał: "nie było męża ani nie będzie nigdy, coby na pewno coś wiedział o bogu i rzeczach wszystkich, któremi się zajmowałem. Bo chociaż prawdę najdoskonalszą wypowie, to przecież nie wie o tem: widzi-mi-się wszędzie panuje.[33]

3. Parmenides.

Myśl xenofanową poprowadził dalej Parmenides. Urodził się w Elei około r. 519, w czasach brzemiennych wielkiemi czynami i wielkiemi myślami. Właśnie sto lat upłynęło, gdy Jonia, pełna życia, na wsze strony wypuszczała promienie oświaty; sto lat, gdy stary Tales i Anaximandros rozmyśliwali nad początkiem wszech rzeczy; sto lat, gdy pierwsza burza, grożąca od wschodu heleńskim miastom, odwróciła się szczęśliwie w osobie Kiaxaresa. Ale zmieniło się rzeczy! W Azyi cały żywot jeden greckiego ducha skonał pod stopami Cyrusa i wojsk

---

[30] strumyk w Olimpii.

[31] Athenaeus, deipnos. X. p. 413. W zbiorze Mullacha frgm. 19.

[32] De die natali, c. 15.

[33] W zbiorze Mullacha frgm. 14.

jego, w Italii i w Sycylii rozpoczynał duch grecki nowy wprawdzie żywot, ale nie wyłonił się jeszcze wśród miast, walczących ze sobą uporczywie, wśród stronnictw, nienawidzących się śmiertelnie. Grecya sama, owa stara a przecież młoda Hellada, drzemała, jakby znużona wysłaniem tylu osadników na wszystkie strony świata. Tylko tu i owdzie konwulsyjne porywy: w Atenach runął tron Pizystratydów, niedawno przedtem zginął był Polikrates w Samos, zdradą Persów; dwa ogniska greckiej oświaty stały pustkami i niczem nie zastąpiono ich jeszcze. Zresztą cicho i ponuro, jak przed burzą daleką. A burza nadciąga od wschodu i zachodu. Persy przemyśliwają o zabraniu Grecyi, Kartagińczycy chcą w Sycylii naśladować przykład, jaki im dali Persowie w Ionii.

Wśród tej ciszy dorasta Parmenides, wielki jak całe plemię, które w sile wieku walczyło pod Maratonem. Późniejsza gieneracya podziwiała te wielkie postacie, o duszach hartownych i dumnych, nieboborczych myślach. I Parmenidesowi dostała się ta sława: „żyć jak Parmenides" oznaczało nadmiar podziwu. Ojcem był mu Pires, bogaty obywatel, ze sławnego rodu. Wiemy, że najlepsi z Fokejczyków opuścili ojczyznę, Pires liczył się do nich. Na ojcu syn miał wzór świetny, charakter swój wielki podług niego wykształcił. Filozofia Pitagorasa krzewiła się wtedy po wszystkich miastach Italii: wszędzie powstawały związki młodych, gorących adeptów, którzy nauki mistrza wraz szerząc i uzupełniając starali się, nieraz przemocą, takowe wprowadzić w życie społeczne. Wśród nich znalazł Parmenides przyjaciół swoich Ameniasza i Diocheitesa, któremu po śmierci nawet wystawił kapliczkę;[34] oni czynem i słowem zachęcali go do badań filozoficznych, ale mimo przyjaźni i uroku, otaczającego nową naukę, nie skłonili go do swojej sekty. Żył wtedy jeszcze stary Kseno-

[34] Diog. Laërt. IX. 21.

funes", do niego młodzieniec najwięcej się przywiązał i myśl jego przejawszy z spadku rozwinął później w system wszechstronnie wykształcony. Od Pitagorejczyków zaś, choć z nimi go łączyły ważne wspomnienia młodości, przejął tylko praktyczną stronę: ich żywot surowy i pełen zaparcia się, w którym z podziwem wszystkich dotrwał do końca. Tyle wiemy o pierwszych jego latach: co zaś robił wyrosłszy na młodzieńca, doszedłszy siły męża, o tem wszyscy milczą. Czy brał udział we walkach, staczanych z Kartaginą o wolność italskich Greków? czy dopomagał braciom, ucierającym się z przemocą perską? czy też życie samotne trawił na rozmyślaniu i dobrych uczynkach? Nic zgoła nie wiemy, tylko jedno, że prawa nadał miastu rodzinnemu. Jakie one były, również nie wiemy, tylko że co rok obywatele Elei składali przysięgę, iż wiernie przestrzegać będą "praw parmenidesowych." [35)] Dopiero późno (r. 454), przy schyłku życia, gdy już ma lat sześćdziesiąt pięć, zjawia się w Atenach, wraz z uczniem swoim i kochankiem Zenonem. [36)] Czy lubił podróżować, bogi to wiedzą, ale Ateny owych czasów nawet starców zdołały wyciągać na przykrą podróż morską i zawabić do portu swego.

[35)] Diog. Laërt. IX, 23.

[36)] Pobyt Parmenidesa w Atenach wraz z Zenonem i spotkanie się z młodym Sokratesem zaprzeczane są przez dziejopisarzy filozofii, należących do tak zwanej filologicznej szkoły. Mam na myśli Zellera (die philosophie der griechen, 2 aufl. Tübingen 1856) który na str. 396 tomu I° otwarcie występuje przeciw; Brandis, równej wziętości używający z lekkim odcieniem niedowierzania wiadomość tę przyjmuje (Geschichte der entwickelungen der griech. philosophie. Berlin, 1862. Tom 1szy, str. 87.). Mężom tym nie można odmówić ogromnej pracy i sumienności niezwykłej w zestawianiu najrozmaitszych antykwaryuszowskich notatek, przecież obrazu całkowitego nadaremno w nich szukamy. Podobni oni do anatomów, którzy rozczłonkowawszy ciało jakie na tysiączne kawałki,

W Atenach rozpoczęły się były czasy, które na zawsze zostaną w pamięci ludów pod nazwą "wieku Peryklesa." Najwięksi poeci, na jakich ludzkość kiedykolwiek się zdobyła, najwięksi mistrze sztuk i architektury, wielcy mówcy i męże stanu i wojownicy uparli się, rzec można, żeby Ateny ówczesne zrobić stolicą Grecyi i matką oświaty dla potomności wszelkiéj. Nie wyliczamy orszaku świetnych mężów, którzy sławę greckiego oręża roznosili po brzegach Azyi i nad ujście Nilu, którzy w domu Peryklesa radzili o rzeczy pospolitéj a w komnatach pięknéj Aspazyi o poezyi i sztuce. Tyle gwiazd jaśniejących nie było nigdy razem, ni za Augusta w portykach Palatynu ni w przysionkach Watykanu za dni największych papieży ni w pięknéj Florencyi na dworze Medyceuszów. Pierś nasza podnosi się dziwnem, niewytłumaczonem uczuciem, krew silniéj krąży po żyłach naszych, ilekroć choć jedno z imion tych słyszymy, bo od dziecińśtwa wszystkie marzenia nasze zrosły się z niemi, jak z wspomnieniem ojca lub matki: są to duchowe naddziady nasze. A

---

chcą z nich ulepić na nowo żywe jestestwo. Pomówimy o téj szkole jeszcze nieraz w przypiskach; tutaj zwracamy się do naszéj kwestyi. Platon w Parmenidesie opowiada spotkanie starego mędrca z młodym Sokratesem, i w dwóch innych miejscach (Soph. p. 217. C. i Theaet. p. 183 E) to samo powtarza. Nie mamy żadnéj przyczyny nie wierzenia Platonowi w téj sprawie: wiek, jaki naznacza Zenonowi, zgadza się z innemi tradycyami, chronologiczne zaś data, jakie co do osoby Parmenidesa wynikają, przedziwnie się zgadzają między sobą. Jeżeli bowiem wtedy r. 454 miał lat 65, urodził się w r. 519, a ponieważ wiadoma rzeczą, iż w młodości obcował z Xenofanesem, temu naznaczyliśmy za rok urodzenia 569. Ten bowiem w 25tym roku życia swego opuścił Kolofon, t. j. r. 544, po upadku Krezusa, co zgadza się z wiadomością u Athen. deipnos. II. p. 57; mógł zatem spotkać się w Atenach z Lazosem (o czem wyżéj) i mógł być późniéj nauczycielem Parmenidesa. Za Platonem przemawia nareszcie Plutarchos, opowiadający o obcowaniu Zenona z Peryklesem (o czem

jeżeli Ateny za czasów owych co dzień jaśniały w stroju świątecznym, to niewysłowionym blaskiem otaczały się podczas wielkich świąt narodowych. Obchodzono zawsze wielkie uroczystości, ale czem one były, wyjmując Olimpią, w porównaniu z ateńskiemi świętami Dionyzusa lub z obchodem Panateneów. Blisko sto miast i wysp heleńskich, hołdujących Atenom, przysyłało swoje teorye, swoje świąteczne poselstwa, a z całej Grecyi przybywały tysiącami ciekawe rodziny nawet ze stron najodleglejszych; bo było po co przybywać, gdzie na scenie Eschyl ubiegał się o pierwszą z Sofoklesem, gdzie komedye przed tłumami popisywały się z prawdziwie boskim dowcipem, gdzie arcydzieła rzeźby, najpiękniejsze utwory architektoniki hojnie wynagradzały trudy morskiej lub lądowej podróży.

Na takie Panatenee wybrał się i stary Parmenides z daleko młodszym Zenonem. Parmenides [37] siwe już miał włosy, twarz piękną i szlachetną; Zenon słusznego był wzrostu i nadobnych ruchów. Stanęli za murami miasta w domu Pitodora, na placu, zwanym Kerameikos, gdzie chowano żołnierzy, poległych w boju. Zenon przywiózł ze sobą książkę, którą napisał w obronie nauki mistrza swego; przybywali więc tłumnie miłośnicy nauk, żeby przeczytać wspólnie nowy utwor ten. Razem z innymi przyszedł tam także Sokrates, bardzo młody, który wtedy posągi jeszcze ciosał. Zastali tylko Zenona, a ten przeczytał im większą część swojej rozprawy, gdy nadszedł Parmenides z panem domu Pitodorem, i zawiązała się długa rozmowa. Kilka godzin spędzonych w towarzystwie sławnego starca, Sokrates nigdy nie zapomniał: ciągle je sobie na pamięć przywodzi w życiu późniejszem.

---

później), Zenon zaś prawdopodobnie raz tylko był w Atenach, gdyż niechętnie opuszczał miasta swego. Jeżeli więc przyjmujemy opowiadanie Platona, wszystko się jak najlepiej układa; jeżeli zaś za przeciwnem mniemaniem obstawamy, nie możemy w żaden sposób zespolić Parmenidesa z Xenofanesem.

37) Plato Parmen. p. 127. B.

Kiedy umarł Parmenides, nikt nie zapisał: tacy ludzie dla Greków żyli wiecznie, dlatego mało dbano o chronologiczne notatki.

Myśli swoje wyłożył w poemacie, podobnież jak mistrz jego Xenofan: na nieszczęście zostały się tylko ułamki, a i te nawet zawdzięczamy wziętości, jakiej mąż ten powszechnie zażywał. Bo jeszcze w piątym wieku po Chr. gdy już tylu przebrzmiało poetów różnych i myślicieli, czytywano poezye Parmenidesa, objaśniano, miejsca ważniejsze przepisywano i wcielano do innych utworów. Urywki te wystarczają, żeby nabyć wyobrażenie jasne o nauce męża Eleaty. Księgę swoją rozpoczyna allegoryczną powieścią, podobnież jak Dante wstęp do Komedyi swojéj.

„Dzielne rumaki go noszą[38] po drodze bogini, która się opiekuje mężami rozumnymi: wóz toczy się szybko a córy słońca wskazują drogę i wiodą go do światła. Nareszcie przed nimi brama, dzieląca drogę nocy od drogi dziennéj, a klucz od bramy dzierży Dike, sprawiedliwość karząca. Do niéj nimfy w prośby się udają i miękkiemi słowy ją głaszczą, aż nie podniesie zawiasy i aż nie otworzy na ścież bramy. I pochód cały spieszy prosto do bogini, a ona prawicą swoją bierze dłoń wieszcza i rzecze doń: Witaj, młodzieńcze, któremu towarzyszyły boskie woźnice; nie przypadek zły na tę drogę Cię zwrócił – ona tak daleka od śmiertelników stąpań – lecz słuszność i prawda Ciebie zwabiły. Teraz wszystko usłyszysz, i prostą myśl prawdy, któréj łatwo wierzy umysł szczery, i mniemania śmiertelników, w których nie ma ni prawdy ni wiary."

Taka mniéj więcéj treść wstępu, rozkład zaś księgi podany ostatniemi słowy, które przytoczyłem: pierwsza połowa poświęcona prawdzie, druga połowa mniemaniom. Mniemanie zaś u Parmenidesa – δόξα – oznacza osobiste

---

38) Ułamki parmenidesowéj muzy zebrał Mullach w „Fragmenta philosophorum graecorum" Parisiis 1860. Część pierwsza. Mieszczą się na str. 108-120 i wiersze oznaczone bieżącym numerem. Wstęp poematu liczy w. 1-32. Podług téj rachuby nadal cytować je będziem, tak iż liczba wierszy odnosi się

zdaje-mi-się, w którém nie masz prawdy ogólnie uznanej. W obu częściach poematu mówi bogini prawdy – Δίκη – a wieszcz przysłuchuje się uważnie.

W pierwszej części poematu odsłania ona prawdę: do niéj z dwóch dróg możebnych tylko jedna wiedzie.[39] Droga jasnego przekonania, iż byt jest a niebyt nie jest; druga zaś droga, że niby byt nie jest a niebyt koniecznie istnieje, nie zasługuje na wiarę i do niczego nie prowadzi. Albowiem tego, co nie jest, ani myślą ogarnąć nie można, ani słowem wypowiedzieć. Bo myśleć i być jedno jest.[40] Nie trzeba iść torem zwyczajnych ludzi, którzy błąkając się jak tłum głuchych i ślepych, raz myślą, że to, co na około nich się dzieje, jest, a raz znowu, że nie jest. Tak chwiać się nie wypada.[41] Jedna tylko w badaniu zostaje droga: uznać trzeba, że świat jest, on początku nie miał i końca mieć nie będzie, on całość stanowi jedną, nieruchliwą, wieczną; o świecie powiedzieć nie można, że był, ani że będzie, bo on teraz razem wszystkiem jest, jednością w sobie zawartą.[42] Bo skąd mu początek wynajdziesz? skąd ma przybierać wzrostu? Nie powiesz, że wszechświat (wszechbyt) z tego powstał, co nie jest, a więc z niczego, bo o tem, co nie jest, ani myśleć nie można ani pomówić.[43] Z resztą jeśli wszechbyt świata powstał, czemu nie stało się to już dawniéj? czemu teraz dopiero? po co teraz powstał? mógł powstać daleko później. Tyle pytań bez odpowiedzi.

Więc wszechbyt świata albo być musi zupełnie, albo wcale nie. Bo z tego

---

zawsze do zbioru Mullacha.

[39] wiersz 35 i nast.

[40] wiersz 40 i 94.

[41] wiersz 46 i nast. Zob. wiersz 99.

[42] wiersz 58 i nast.

[43] wiersz 62 i nast.

co jest, nowy byt nie powstaje; dla tego temu, co jest, bogini nie pozwala ani powstać ani zginąć. Jeżeli świat był niegdyś, dzisiaj już nie jest; jeżeli kiedyś ma być, dzisiaj także nie jest, stąd i rodzenie obcem mu jest i zaguba.[44]

Wszechbyt świata podzielić się nie da, bo wszędzie do siebie podobnym jest; nie zawiera on w jednej części więcej życia, a w drugiej mniej, lecz cały pełen jest istnienia; w każdej części cały jest obecny, bo istnieje wszędzie, a istnienie nie różni się od istnienia. Nieporuszonym trwa on, opisany silnemi więzy, bez początku i końca; ten sam, w tem samem położeniu, w tożsamości swojej, żadnym zmianom nie podległy, bo silna konieczność trzyma go w więzach i zewsząd go opasuje.[45]

Dla tego nie można świata nazwać nieskończonym,[46] bo gdyby nim był, potrzebowałby wszystkiego, a on niczego nie potrzebuje. On nakształt kuli[47] dobrze zaokrąglonej rozprzestrzenia się po równo we wszystkich kierunkach; żadna z jego części nie mieści w sobie mniej lub więcej bytu od innej, bo nic nie przerywa jego jednostajności a wszechbyt wszędzie w całości jest.

Druga część poematu opiewa złudne mniemania śmiertelników; daleko mniej zachowało się z niej ułamków, tak iż mniej więcej wiemy, o czem, ale nie co prawił. Wiemy, że bogini wykłada wieszczowi naturę eteru[48] i znaki, jakie w nim zachodzą, działanie słońca i początek jego, również naturę i powstanie księżyca. Także o niebie mowa była, skąd się wzięło i podług jakich praw włada gwiazdami, nareszcie o początku ziemi[49] i drogi mlecznej i olimpu.

---

44) wiersz 67 i nast.

45) wiersz 78 i nast.

46) wiersz 88 i nast.

47) wiersz 102 i nast.

48) wiersz 133 i nast

49) wiersz 140 i nast.

Zapatrywanie się zaś parmenidesowe na świat zewnętrzny, w którym życie i śmierć dobijają się bez ustanku pierwszeństwa, było następujące, o ile z kilka ułamków odgadnąć się da całość:

Ludzie mówią, że istoty nas otaczające rodzą się i umierają, że się poruszają i zmieniają, i że zmiany te ustawiczne rzeczywiście się odbywają. Takie mniemanie nie jest prawdziwe, spowodujemy się doń wierząc zbytecznie zmysłom naszym. Przecież jest prawda jakaś ukryta w mniemaniu owém i tę trzeba wydobyć!

Cóż bowiem za przyczyna, że istoty ziemskie się zmieniają? że powstają i giną? Przyczyna ta nie mieści się w owym wszechbycie niezmiennym świata, z niego znikome jestestwa wydobywać się nie mogą. Potrzeba więc przyjąć dwa pierwiastki bytu, które niezależnie i rzeczywiście obok siebie istnieją: jeżeli o jednym mówimy, że jest, a o drugim, że nie jest, to tylko względnie przyjąć to wypada, przyrównywając jeden do drugiego. Możemy więc z dwóch pierwiastków owych jeden nazwać istniejącym, drugi nieistniejącym, ale będzie to zawsze byt lub niebyt warunkowy.

Bytem (warunkowym) w świecie zmysłowym nazwiemy pierwiastek eteryczny, ognisty, który nie podlega żadnym zmianom a wszystko sobą przenika. Na przeciw niemu stanie wtedy niebyt (warunkowy), gnuśny pierwiastek ziemny, który pierwiastkiem ognistym w różnych miarach i stopniach różnych przenikany, ciągle się przemienia, skąd nieistniejącym nazywać się może. Pojedyncze istoty i rzeczy, które na około nas świat wypełniają, są produktami owych dwóch czynników: im więcej w nich ognia, tem więcej życia, tem więcej bytu; im większa zaś w nich ilość pierwiastku ziemnego, tem mniej życia, a więc i mniej bytu.

W środku zaś świata siedzi bogini, która wszystkiem włada; ona pierwszego z bogów wymyśliła Erosa, który pierwiastki przeciwne do siebie zbliża: ziemny

do ognistego, męski do żeńskiego, i tak rodzivem niejako wszech rzeczy się stawa.[50] Za jego staraniem układa się na około tronu bogini świat z kręgów, mniej lub więcej jasnych, które to kręgi lub wieńce nareszcie opasuje niebo czyli "olimp ostatni". W środku świata, a więc u podnoża "bogini" "ziemia spoczywa",[51] na około niej morze eteru, w którem krążą słońce, miesiąc, planety; po za eterem niebo z gwiazdami stałemi i z mleczną drogą. Miesiąc ziemię okrąża,[52] pożyczanem świecąc światłem, oglądając się zawsze za promieniami słońca. Tak zaś świat cały z dwóch pierwiastków się ułożył, tak i pojedyncze istoty na powierzchni ziemi. Każda z nich mieści w sobie obok ziemnego żywiołu i ognia cokolwiek, więc nie ma na ziemi nic, coby zupełnie było nieżywem, coby zupełnie było pozbawionem bytu. Byt zaś i myślenie jedno jest.[53] Każda więc istota myśli, stósownie do ilości bytu, jaką posiada. Tak nie ma rzeczy, pozbawionej zupełnie życia, tak nie ma rzeczy bez wiedzy żadnej. Im więcej zaś życia w istocie jakiej, tem więcej do prawdy zbliża się jej wiedza, jej świadomość. Panowanie mniemań niejasnych i mylnych coraz więcej ustaje i znika zupełnie, gdy rozum ludzki dobił się pojęcia o wszechbycie jedym, nierozdzielnym, niezmiennym, i gdy w bycie tym uznał rzeczywistą istotę świata i rzeczywistą jego prawdę.

Parmenides przewyższył nadzwyczajnie swego nauczyciela Ksenofana, ale miał drogę ku temu bardzo ułatwioną. Pitagoreizm rozwinął się dokładniej i zdobył wiele prawd w dziedzinie nauk przyrodzonych; w Azyi po niewykończonych i chwiejących się systematach Anaximenesa i Anaximandra wystąpił "ciemny Heraklitos" z Efezu z nową, wykończoną nauką; nareszcie w nauce o jedności świata miał Parmenides przed

[50] wiersz 132.

[51] wiersz 128.

[52] wiersz 144 i 145.

[53] wiersz 94.

sobą Xenofana. Ale podczas gdy Xenofan tkwi jeszcze do połowy w orficznej teologii, drugą połową w jońskim materyalizmie, i w żywej sprzeczności pozostawił jedność świata i wielość rzeczy stworzonych, Parmenides nie intuicyą mistyczną chwyta za jedność ową, lecz w rzeczach natury upatruje zaciemnione jestestwo, rozwijające się stopniami aż w byt doskonały, w myślenie wykończone. Dziecinne teorye nauczyciela swego o składzie natury zastępuje lepszemi, przejętemi od Pitagorejczyków, którzy w środku świata mieścili "odwieczny ogień" czyli słońce, a planetom i Księżycowi tylko pożyczane przyznawali światło. — Nauka Heraklita znaną mu była: większego przeciwieństwa od dwóch tych mężów pomyśleć sobie nie można. Heraklitos powiada, że wszystko powstaje i ginie, a jeżeli o czemś mówimy, iż jest, mylnie zmysłom naszym zaufamy; dla niego istnienie, trwanie optycznem jest złudzeniem: dla Parmenidesa powstanie jest ułudą zmysłów a istnienie rzeczy wistością. Do Heraklita odnoszą się słowa, wyżej przytoczone:[54] "Błąkają się na kształt tłumu głuchych i ślepych, myśląc, że to, co jest i to, co nie jest, to samo są i znowu nie to samo."

Szkoła elealska w Parmenidesie doszła szczytu swego, odtąd nie przybyło w niej żadnej nowej myśli spekulacyjnej. Dwaj uczniowie jego, Zenon i Melissus, o których także pomówić nam wypadnie, usiłują: pierwszy obronić naukę od zaczepek atomistów owego czasu i zachować ją w całej nieugiętej surowości swojej, bez ustępstw żadnych, a drugi pragnie ją pogodzić z wyobrażeniami ludzi zwyczajnych. Pogodzenie nie udało się, a opór Zenona, który chciał naukę elealską nietkniętą przekazać następcom, wywołał mnóstwo sofistów, w których ręku wspaniały system nędznego doczekał się zgonu. Tak niektóre wielkie rzeki w Azyi giną nieznacznie w piaskach pustyni.

---

[54] wiersz 46 i nast.

4. Upadek Szkoły.

Następcą Parmenidesa i głową osierociałej po nim szkoły był Zenon, syn Teleutagory,[55] urodzony w Elei prawdopodobnie r. 497. Bystrość rozumu, piękność ciała, nadobność w zewnętrznym układzie i nieskażone obyczaje już za młodu zjednały mu przyjaźń Parmenidesa, którego odtąd stał się nieodstępnym towarzyszem. O jego życiu również chwalebnie wspominano, jak o życiu mistrza jego: o nim także mówiono, że żył jak Pitagorejczyk.[56] Mistrzowi swemu dorównał w miłości ojczyzny, w przestrzeganiu porządku w rzeczy pospolitej. Bo chociaż w Atenach, dokąd pojechał z Parmenidesem, wielu sobie zniewolił i samego Peryklesa liczył w poczet uczniów swoich obok innych znakomitych mężów,[57] przecież nad świetne stosunki ateńskie przekładając żywot spokojny pośród współobywateli, nie długo potem do Elei wrócił i odtąd nigdy jéj nie opuścił. A gdy i jego miasto ukochane uległo zwykłemu losowi miast italskich, że stało się łupem jednego, gdy Demilos ogłosił się samorządcą, nie wahał się z poniesieniem życia swego w ofierze sprawie publicznéj. Sprzysiągłszy się bowiem z innymi na życie tyrana, ujętym został przed dokonaniem zamachu i stawiony przed trybunał władzy. Gdy zagrożono mu mękami, jeżeli nie wyda współwinowajców swoich, ugryzł sobie język, by nie móc zdradzić tajemnicy i wypluł go przed nogi Demilosa. Poczém śmierć poniósł, jak przystało na mędrca takich przekonań.[58] Zenon

[55] Diog. Laërt. IX. 25.

[56] Strabo VI. 1, 1.

[57] Plutarch. Pericl. 4. Diog. Laërt. IX. 20.

[58] Plutarchos adversus Colotem c. 33. Diog. Laërt IX. 26 i nast. Co napisał Zeller (tom I. str. 419 i nast.) o życiu Zenona, posłuży czytelnikowi na dalsze potwierdzenie mniemania naszego pod

napisał dzieło jedno,[59] któremu tytuł nadał σύγγραμμα. Że zaś dzieło to rozpadało się na kilka części odrębnych, późniejsi mniemali, iż kilka różnych pism po sobie zostawił.[60]

Komuż nie znane imię Zenona? A nawet ci, co nie zasłyszeli nigdy o nim, znają choć jeden z dowodów dziwnych, któremi miejsce sobie na zawsze wyrobił w historyi logiki. Zenon bowiem obrał za cel życia swego obronę nauki eleackiéj na przeciw materyalistom, którzy nie dostrzegłszy nigdzie bytu trwałego, materyi wieczne tworzenie się, wieczne powstawanie przypisywali. Do obrony téj wybrał drogę, wielce przeciwną od téj, jaką mistrz jego podążył do prawdy. Albowiem Parmenides rozpoczyna z pojęciem bytu i z istoty pojęcia wykazuje niemożliwość istnienia tego, co nie jest; Zenon zaś usiłuje wykazać, iż wszelkie mniemanie, przeciwne eleackiemu, niedorzecznem jest. Obrał więc walkę przedmiotem życia swego: on nic nie tworzy, tylko

---

przypadkiem 36° wypowiedzianego. Nie mamy w Zellerze biografii, lecz spis różnych notatek, z których nawet wiarogodniejsze nie są oddzielone od mniéj pewnych, lecz wszystkie przekazane czytelnikowi do wyboru, który odważywszy wszystkie mniemania pro i wszystkie mniemania contra, wybierze najwięcéj przypadające do jego przekonania. Ale na co pisać wtedy historyą filozofii? na co nie kontentować się Diogenesem z Laërty, gdzie anekdotek i historyjek aż nadto. Jeżeli o pisarzu jakimś dziesięć sprzecznych między sobą wiadomości zestawię, każdą z nich zaopatrując w obszerny komentarz i w wykaz miejsc, gdzie się wiadomość ta znajduje, to grzeszę i przeciw czytelnikowi, który czas swój mozolnie traci na porównywanie i badania, a grzeszę więcéj jeszcze przeciw estetyce, gdyż mając podać obraz mozaikowy, daję tylko kamyczki, a czytelnik niech sobie z niemi poczynie, co mu się żywo spodoba. Tak postępuje Zeller i szkoła jego.

[59] Plato Parmen. p. 127 6. Simplic. in Aristot. phys. 30, a.

[60] Diog. Laërt. IX. 26.

wywraca zdania przeciwników. Taka walka nie mogła się odbyć bez broni: broń tę stworzył on sobie w subtelnej, gibkiej dialektyce. Tę straszliwą broń podziwiano powszechnie a sztuce, z jaką umiał nią władać, oddawano głośne pochwały. Platon nazywa go eleackim Palamedem, bo był mądrym i odważnym, jak równoimiennik jego pod Troją, "a gdy on, prawi Platon, mówi, zdaje się słuchaczom, że te same rzeczy podobne do siebie i nie podobne, że jedno są i że wiele, że stoją i że się poruszają." [61] Przypatrzmy się z bliska walce przezeń staczanej.

Ludzie zdrowego rozsądku jak dzisiaj i wtedy mówili, że wiele rzeczy jest. Na to Zenon: jeżeli wiele rzeczy jest, muszą być one zarazem i nieskończenie wielkie i nieskończenie małe. Albowiem każda wielość składa się z jednostek, jednostka zaś tylko to, co się więcej nie da podzielić. Każda więc z owych licznych rzeczy, o których ludzie zwyczajni mówią, albo jednostką być musi albo z jednostek się składać. Jednostka zaś, ponieważ więcej się nie dzieli, nie ma wielkości żadnej; czy więc wiele jednostek do siebie dodamy, czy kilka z nich odejmiemy, zawsze otrzymamy coś bez wielkości żadnej, zatem coś niesłychanie małego. One liczne więc rzeczy, o których mówią, że są, nieskończenie małemi są. Jednakże rzeczom tym przypisujemy jaką taką wielkość, powinne więc składać się z części, od siebie oddzielonych; to zaś, co odgradza jedną część od drugiej, musi także mieć wielkość jakąś, która to wielkość od graniczącej części znów przedzieloną będzie wielkością i tak w nieskończoność. Postawił więc Zenon przeciwnikom swoim takie dilemma: jeżeli wiele rzeczy istnieje, to są i niesłychanie małe a zarazem i nieskończenie wielkie. [62]

W liczbie podobną sprzeczność upatruje. Jeżeli wiele rzeczy jest, muszą

---

[61] Phaedrus, p. 261 D.

[62] Simplic. in Aristot. phys. 30, a.

co do liczby być określone, bo będzie ich tyle, ile ich jest. Dwie rzeczy zaś które oddzielnie obok siebie istnieć mają, muszą być czemś od siebie przedzielone. To zaś, co je dzieli, będzie od nich czemś nowém przedzielone, a to znowu, i tak bez przerwy żadnej. Zatem liczba rzeczy istniejących i ograniczoną jest, i nieograniczoną.[63]

Ludzie zdrowego rozsądku mówią, że wszystko jest w przestrzeni. Na to Zenon: a przestrzeń w czém jest? jeżeli odpowiecie że w przestrzeni, na nowo się zapytam: a ta przestrzeń w czém? i tak pytać będę w nieskończoność.[64]

O podobną rzecz także toczyła się dysputa między Zenonem a Protagorasem sofistą. Zeszli się pewnego razu i Zenon bez ogródki spytał się sofisty, czy ziarnko prosa lub też stotysięczna część jego może sprawić szelest jakiś. Protagor odrzekł że nie. Na to Zenon zapytał się, jak się rzecz ma z całym korcem? Przeciwnik przyznał, że wysypany na ziemię sprawia szelest dość wielki. Zenon badał dalej, czy zachodzi stosunek jaki między ziarnkiem a całym korcem? Co Protagor gdy przyznał, zawyrokował Zenon: zatém szelesty stać będą do siebie w tym samym stosunku, co rzeczy szelest sprawiające. Jeżeli korzec prosa szeleści, to i jedno ziarnko prosa, a co więcej jeszcze, stotysięczna część ziarnka.[65]

Najważniejsze zarzuty swoje wymierzył Zenon przeciw

---

63) Simplic. in Aristot. phys. f. 30. b.

64) Aristot. phys. IV. 1 i 3. Simplic. in Aristot. phys. f. 130, b.

65) Simplic. in Aristot. phys. f. 30 i. 255; a porównaj Aristot. phys. VII. 5.

pojęciu ruchu. Wtedy kwitnęły systemy atomistów, zdania Leukippa i Demokryta wszędzie znajdywały odgłos, bo Grecy chętnie zwracali się do nowości. W systemach tych wszystko się rucha, atomy od wieków będąc w ruchu schodzą się i rozchodzą i ciała formują. Zenon wtedy wyrzekł, że nie ma wcale ruchu, przez co system taki pozbawiony był wszelkiej podpory. Dowody zaś jego są podług Arystotelesa[66] następujące:

1. Zanim do końca, musimy dojść do połowy drogi, ale i z tej połowy wprzód trzeba przebyć połowę, co nim się stanie, oczywiście wprzód jej połowę trzeba mieć za sobą, a i z tej połowy trzeba było przebyć połowę i tak w nieskończoność. Żeby zaś niezliczone przestrzenie przebyć, potrzeba na to czasu niezliczonego, ruch więc wszelki staje się niepodobieństwem.

II. Drugi dowód opiera się na syllogizmie, uwiecznionym w logice pod nazwą Achillesa: Szybkonogi Achilles nie dogoni leniwego żółwia, bo nim dobiegnie do miejsca, gdzie żółw się znajdował, ten się o mały kawałek naprzód posunął i nową przestrzenią oddzielił od ścigającego. Nim Achilles przebędzie ten nowy przedział, żółw się znowu posunie naprzód, a gdy Achilles i ten kawałek drugi zrobi, żółw znowu tymczasem poszedł naprzód i tak w nieskończoność. Ruch więc jest niemożliwy, podług pierwszego dowodu.

III. Trzeci dowód wykazuje, że strzała wypuszczona z

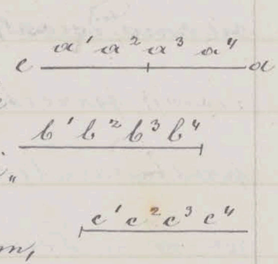
---

66). Arystot. phys. VI. 9. a. Komentarz zaś jasny i zrozumiały znajduje się w Simplic. in Arist. phys. p. 237 a i b; 236. b.

tuki nie leci, lecz stoi. Atoli czas z nieskończenie wiele teraźniej-
szości czyli chwil teraźniejszych   się składa. Gdy się zapy-
tamy: w tej chwili gdzie jest strzała? odpowiedzą nam: w prze-
strzeni. W następnej chwili znowu strzała jest w przestrzeni,
nie możemy zaś nigdy zdybać chwili, w której powiemy że strza-
ła przechodzi z jednej przestrzeni do drugiej.

IV Czwarte paradoxon najzawilsze, choć błąd jego
nie mniej jest oczywistym. Łamano sobie wiele nad nim głowy,
myślę, przecież, że z Komentarza do Arystotelesa, napisane-
go przez Symplicyusza, dość jasne można powziąść wyobra-
żenie. Rzecz o którą chodzi, jest następująca:[67]

Podług ogólnie przyjętego prawidła, ciała równej wielkości
i równej szybkości przebiegają w tym samym czasie równe
przestrzenie. Wystawmy sobie cztery kostki $a^1 a^2 a^3 a^4$ rozla-
wione na linii c a mającej pręt długości. Cztery również
wielkie kostki $b^1 b^2 b^3 b^4$ zajmujące również linią jeden pręt
długą, tak są rozstawione, że pierwsza z nich
stoi pod połową pierwszej linii. Trzeci nareszcie
szereg kostek $c^1 c^2 c^3 c^4$ także na przestrzeni je-
dnego pręta rozstawionych rozpoczyna się tam,
gdzie pierwsza linia się kończy. Jeżeli pierwszy szereg po-
zostanie spokojnym, a drugi i trzeci w przeciwnym kiu sobie



---

67). Zeller idąc za Prantlem (wydanie fizyki Arist.) dał na str. 433 tomu 1go pilne wytłumaczenie wraz z objaśniającym rysunkiem. Łaskawy czytelnik, który się zadziwi, że i w rysunku i w tłumaczeniu odstąpiłem od tych tak znakomitych uczonych, wybaczy mi może in gratiam Simplicii (in Arist. phys. p. 237. b). którego się jak najwierniej trzymałem.

porusza się kierunku, t.j. szereg b^1 ku d a szereg c^1 ku c, to podług Zenona drugi szereg $b^1 b^2 b^3 b^4$ stanie w punkcie d, czyli przebędzie pół pręta drogi, w tym samym czasie, w którym szereg $c^1 c^2 c^3 c^4$ stanie w punkcie e czyli przebiegnie linię jeden pręt długą. Dowodził zaś swego twierdzenia zdaje się w ten sposób, iż stosunek między szeregiem a i szeregiem b. a szeregiem b i c uważał za zupełnie odmienny. Bo podczas gdy drugi szereg ominie a^3 i a^4, zajmujące 1/2 pręta przestrzeni, szereg trzeci ominie nie tylko a^3 i a^4 lecz także b^1 i b^2, zatem dwa razy po pół pręta drogi. Ztąd szybkość z jaką ciała dwa poruszające się w przeciwne sobie strony miną się, jeszcze raz tak wielką będzie, niż szybkość, z jaką ciało będące w ruchu ominie ciało spokojnie leżące. Zkąd Zenon wniosek wyciągał, że dwa równie wielkie i równie szybkie ciała nie równie wielką przestrzeń przebywają, lecz jeszcze raz tak wielką, co nową jest sprzecznością. Zenonowi zaś chodziło o to, żeby jak najwięcej sprzeczności wykazać w mniemaniach, przeciwnych szkole eleackiej.

Niejeden z czytelników uśmiechnie się przeczytawszy podobne argumentacye, a więcej jeszcze z zapału z jakim Grecy ówcześni przeciw nim lub za niemi występowali. Przypominają one sofistów, którzy współcześnie z Zenonem rozkwitali w najlepsze; wydają się nacechowanemi nieszczerym dowcipem, któremu więcej chodzi o zbałamucenie słuchacza i o to, żeby mówcy wyjednać chwałę bystrego myśliciela, niż o zgłębianie prawdy. Przecież za ostro sądzić nie trzeba Zenona, a mniej jeszcze postawić go w sze-

ny jeden ze sofistami. Tym bowiem chodziło o jakieś takie uzasa-dnienie swego widzimisię, które niemal codzień innem było i co dzień innych wymagało dowodów. Zenon zaś szczerym my-ślicielem jest, któremu nauka Parmenidesa przyrosła do serca, będąc dla niego szczytem wszelkiej mądrości: dla niej jedynie podejmuje się walk ustawicznych z przeciwnikami najrozmaitszych szkół, dla niej wyczerpuje wszelkie zasoby dowcipu swego. A choć w starożytności już zarzucano ar-gumenta jego jako nie logiczne, choć dzisiaj uważane są za dziecinne lub swawolne wybryki zbyt subtelnego rozumowania, jednak pytania przez nie poruszone nie doczekały się ostatecznego załatwienia. Sprzeczności ja-kie Zenon upatrywał między przestrzenią a pojęciem lo-gicznem, jakie o niej mamy, między czasem i jego poję-ciem, nareszcie w ruchu i w składzie jednostek, stały się po tysiącach lat, przedmiotem nowych gruntowniejszych badań. Prace, jakie Kant tym pytaniom poświęcił, do-wodzą, że niesłusznie je zbywano przez wiele wieków, prze-cież i Kant nie załatwił sprawy. Po nim Hegel i Her-bart z równą gorliwością wzięli się do tych samych py-tań, a najnowsze dzieło Trendelenburga, wyszłe przed kilku latami 68) dowodzi, że i po geniuszach owych nadzwyczaj wiele pozostało roboty. 69) Skoro dzisiaj jeszcze sprawa ta

---

68). Logische Untersuchungen Leipzig 1862. 2 Aufl.

69). Obszerniej nieco dotknąłem tego ciekawego sporu w rozprawie mojej De Schopenhaueri doctrina et philosophandi ratione. Wrocław 1865, str. 18 i nast.

w zawieszeniu, podziwiajmy starego Zenona, który pierwszy trudności te przezwał, a choć zniszczenie błędu i zastąpienie go prawdą pozostanie zawsze rzeczą godną największej chwały, to przecież tym, co pierwsi istnienie błędu wytknęli, nie godzi się wszelkiej odmawiać pochwały. Tę cześć zawdzięczamy cieniom starego mędrca z Elei.

Młodszym współcześnikiem Zenona był Melissos, syn Itagenesa, z wyspy Samos [70]. Dawna ta rzeczpospolita jóńska, niegdyś za rządów Polikrata najznaczniejszą miała siłę zbrojną na morzu i ostatniém była przedmurzem naprzeciw podbojom perskim. Gdy zaś po bitwie pod Salaminą, roztropnością wodzów ateńskich prawie wszystkie miasta i wyspy greckie w Archipelagu zjednoczyły się pod naczelném dowództwem Ateńczyków, Samos także przystąpiła do nowo utworzonego związku. Przebieg sprawy znanym jest. Konfederacya zamieniła się w hegemonię; sprzymierzeńcy stali się powoli poddanymi. Samijczycy, oddawna niechętni Ateńczykom, rozpoczęli wojnę z Miletem, a gdy nie chcieli poddać sporu swego pod sąd Ateńczyków, Perykles z flotą ukazawszy się w ich porcie, bez oporu zajął miasto, urządził ich rzeczpospolitą na wzór domowej demokracyi i wiele szlachty zabrał ze sobą do Bizancyum w zakład posłuszeństwa. Wtedy arystokraci umówiwszy się z Persami uwolnili swoich zakładników za pomocą

70) Diog. Laërt. IX, 24.

Bizańczyków, wypędzili ateńską załogę i uzbroili się do wojny. Persy przyrzekli im pomoc, Sparta podmawiała, inne miasta choć przymierzone z Atenami, otwarcie sprzyjały. Perykles przecież pobiwszy flotę samijską, zamknął miasto i port: w tém trudném położeniu Melissos filozof, przewodnik arystokracyi, stanął na czele państwa. Podczas gdy Perykles z częścią okrętów odpłynął na spotkanie floty perskiej, Melissos zwyciężywszy dwa razy Ateńczyków, odpędził ich od portu i miasto w żywność i wojenne przybory zaopatrzył. Ale trudno ujść swemu przeznaczeniu. Perykles wróciwszy do Samos zadał zbuntowanym nową porażkę i po dziewięciomiesięcznem oblężeniu, mimo najdzielniejszego oporu, zmusił do poddania się. Wojna ta skończyła się dla Samijczyków zupełną utratą wolności: musieli wydać okręty swoje i koszta zapłacić, sprawę publiczną urządzić podług myśli Ateńczyków i liczbę dać wielką zakładników [71].

Wypadki te zaszły w r. 442 i 441. Melissos odgrywający w nich rolę najważniejszą, będąc głową państwa i naczelnikiem siły zbrojnej [72], urodził się zapewne około r. 490, gdyż w młodości słuchał jeszcze nauk Parmenidesa [73].

---

71). Porówn. Curtius. griech. Geschichte. tom II, 198 i nast. On tylko powiada, że Melissos zmusił Ateńczyków do zaprzestania blokady; zdaje się jednak, że całkowite nad flotą oblężniczą odniósł zwycięztwo: porówn. bowiem Plutarch. vit. Pericl. 26. Id. adversus Colot. c. 32 Aelian. Varia Hist. VII, 14.

72). Diog. Laërt. IX, 24.

73). Diog. Laërt. IX, 23.

Po wojnie mieszczyliwej wrócił zapewne do ulubionych studyów filozoficznych, od których na czas jakiś oderwały go usługi publiczne. Później już niema o nim wzmianki żadnej. Mniemania swoje wyłożył w dziełku, któremu za napis położył „o przyrodzie" 74).

Melissos będąc Jończykiem interesował się żywo badaniami w dziedzinie przyrody. Nauka Empedoklesa znaną mu była, a może i dzieło Anaxagory; teorye atomistów także obcemi mu nie były ni mniemania Anaximenesa i szkoły jego. Bronił zaś Parmenidesa naprzeciw tym różnym filozofom w ten sposób, iż wychodził z pewnych dan, obu stronom wspólnych, zkąd poszło, że mimo woli nie jedna jońska idea wśliznęła się do nauki, której bronić zamierzał. Treść Mellisowych argumentacyi następująca:

„Jeżeli nic nie istnieje 75), o niem wcale mówić nie można; jeżeli zaś co jest, to albo powstało albo wiecznem jest.

---

74). Dziełko to u Simplic. in Aristot. phys. f. 22. b. nazywa się po prostu   . Suidas sub voce   nazywa je   . Napis   znajduje się w Galena ad Hippocrat. de natur. hom. I. p. 5 ed Kühn. Alexander zaś z Afrodyzyi i Mikołaj z Damaszku nazywali je de ente et natura, jeżeli wierzymy Bessarionowi in Calumn. Platon. II, 11.

75). Fragmenta Melissa, które po większej części zachowały się w Komentarzu Simplicyusza, wydał Mullach we wspomnianym zbiorze swoim na str. 259-265. Podług niego cytujemy fragmenta. Pierwsza myśl wyłożona zawiera się w frg. 1.

Jeżeli powstała, to oczywiście albo z czegoś, co jest albo z niczego: z niczego nie powstać nie może, a z czegoś już istniejącego także nie może powstać nowe istnienie. Nie powstało więc to, co jest, lecz od wieków jest, ani też nie zaginie nigdy, bo nie może się ono w nic przemienić, jak wszyscy przyznawają, a jeśli w inny byt przejdzie, to przecież to żadna zaguba.

Jeżeli to, co jest, czyli byt wiecznym jest, także nieskończonym nazwać go trzeba, albowiem nie ma ani początku ani końca mieć nie będzie [76]. W tym punkcie odstąpił Parmenidesa, który wszechbyt świata uważa za skończony i w sobie zaokrąglony; sposób zaś dowodzenia nadzwyczaj słaby, albowiem w czasowej nieskończoności wywodzi on nieskończoność w przestrzeni. Dlatego Arystoteles „niezgrabnym" go nazywa i stawia go daleko niżej od Parmenidesa [77].

Z wieczności wszechbytu wyprowadziwszy fałszywie jego nieskończoność w przestrzeni, opiera na tym fałszywym wniosku jedność wszechbytu; albowiem kilka wszechbytów ograniczałoby się nawzajem, nie może zatem być więcej od jednego. [78].

Skoro zaś wszechbyt jednym jest, nie podlega zmianie żadnej: bo zawsze sobie równym będąc, nie stanie się,

---

76). Frgm. 2gi u Mullacha.

77). Aristot. metaph. I. 5 (p. 986, b) Id. phys. I. 3.

78). Frgm. 3ci u Mullacha.

ani większym ani nie przekształci się, ani bólu nie dozna żadnego; wszelka bowiem zmiana przejściem jest w stan inny, prócz wszechbytu zaś nic innego nie istnieje.[79]

Ruch dla wszechbytu zupełnie nie możliwym jest, bo do ruchu potrzeba próżnego miejsca, w które ciało poruszone się przenosi. Próżne zaś miejsce (przyjmowane od atomistów) niczem nie jest: nic zaś wcale nie istnieje. Ani też ruch wszechbytu nie może zasadzać się na ściąganiu się i rozprzestrzenianiu (jak mniemał Anaximenes), bo rzecz zgęszczona ma w sobie mniej próżnego miejsca, a rozprzestrzeniona więcej: próżna zaś wcale nie istnieje.[80]

Zmysły mogą także poniekąd przemówić za jednym owym wszechbytem. „Albowiem"[81], jeżeli wiele rzeczy jest, powinny być takie, jakimi ja mówię że wszechbyt jest. Jeżeli bowiem ziemia jest i woda i żelazo i złoto i ogień; jeżeli są rzeczy żywe, zmarłe, czarne i białe, i wszystkie inne, którym ludzie przypisują rzeczywiste istnienie; jeżeli one są i my dobrze widzimy i słyszymy: to każda rzecz taką być powinna, jaką nam się od pierwszego razu przedstawiła, a nie zmieniać się lub inną stać się. Mówimy że dobrze widzimy, słyszymy, rozumiemy, a zdaje nam się, że ciepła rzecz staje się zimną, zimna ciepłą,

---

79). Fragm. 4ty i 11ty w Mullacha

80). Fragm. 5ty i 14ty w Mullacha

81). Fragm. 17ty w Mullacha. Podajemy dosłowny przekład.

twarda miękką a miękką twardą, że istota żywa umiera i że powstaje z nieżywej, że wogóle wszystko na około nas się zmienia i że nie ma żadnego podobieństwa między tem, co było a tem co jest". Jawna więc rzecz, mówi nieco dalej, że nie dobrze widzimy i że nie dobrze nam się wydaje, iż te liczne istoty na około nas są, bo gdyby rzeczywiście były, nie zmieniałyby się i pozostałyby takiemi, jakiemi się wydają. Albowiem niema nic lepszego nad to, co jest rzeczywiście, skoro zaś ono się zmieni, to byt zaginął a niebyt powstał. Tak iż jeżeli wiele bytów jest, muszą być takiemi, jakim jeden ów wszechbyt".

Z tych słów najwyraźniej się pokazuje, że Melissos zmieniającemu się światu zewnętrznemu tylko subjektywne przypisuje istnienie — podczas gdy Parmenides objektywne, ale nie wyrobione istnienie w świecie zewnętrznym upatrywał[82].

Melissos systemu eleackiego, jakim go Parmenides zakreślił, dalej nie poprowadził: w obronie jego słabszym jest od Zenona, a uznawszy wszechbyt eleacki nieograniczonym — zrobił filozofom jońskim ustępstwo z narażeniem dobrej strony swojej logicznej.—

W słabych zarysach podałem przebieg eleackiej szkoły: Xenofanes wykluwa się z mitologicznych dogmatów i pod wpływem Pitagorasa przechodzi do jedno-

82). Na ten wniosek jasny historycy filozofii nie zwrócili dotąd uwagi.

bytu w naturze, obdarzonego intelligencyą; Parmenides przymiot intellektualny, przypisany wszechbytowi natury, z nim identyfikuje, tak iż myślenie prawdziwe i prawdziwe istnienie jedno są. Powstawanie zaś i przemiany natury są tylko niższemi stopniami, któremi myślenie przedziera się do wszechbytu. Uczniowie jego Zenon i Melissos przemianyte zupełnie negują, pierwszy wykazując ich niedorzeczność, drugi do zmysłowego złudzenia je sprowadzając. Odtąd szkoła ta nie liczy już wyznawców znakomitych: podobno Pitodor, przyjaciel Zenona, do nich należał[83], a jabym dodał do nich niejakiegoś Palaistosa, którego nazwisko wyczytałem w Palefacie. Był on z wyspy Samos i na wstępie dziełka swego podobną zupełnie do Melissa wyraził opinię. Zreszta nic o nim więcej nie wiem.[84]

Szkoła ta, wzbył wielkiej stanowczy sprzeczności do rzeczywistego świata, zniknęła, dostarczając pożądaną broń sofistom i nawet później megaryjskim zwolennikom Sokratesa. Mimoto, wywarła ona wpływ niezmierny na cały rozwój greckiego ducha. Empedokles i atomiści nie byliby doszli do rezultatów swoich bez Parmenidesa; na nim kształcił się już dawniej Heraklit, na nim Platon i wszystkie generacye filozofów greckich otaczały czcią wielką imię jego. Że zaś dowcipne syllogizmy Zenona po dziś dzień w szkolnych logi=

83). Plato. Parmen. init.

84). Palaephatus de incredibilibus, prooemium.

kach się mieszczą, wiedzą czytelnicy moi z swoich lat młodo-
cianych.

Wrocław, w wrześniu r. 1865.

Lekcya Wstępna

do wykładów historyi filozofii

miana we wielkiej sali Szkoły Głównej

Warszawskiej

d. 1. listop. r. 1866.

Panowie!

W zebraniach naszych mam zamiar wykładać historyę filozofii.
Nim jednakże rozpocznę wykład mój, nie mogę ominąć pytania,
które na wstępie zaraz słusznie mi stawicie: powinienem wyka-
zać, że filozofia ma swoje dzieje, a zanim to uczynię, powinie-
nem jasno wypowiedzieć: czém jest filozofia? czy jest ona nau-
ką pośród innych? czy jak inne rozwija się od słabych, niedoj-
rzałych początków, poprzez błędy liczne i mozolne doświad-
czenia, do pojęć jasnych, do wyników trwałych? Mamy na-
uk wiele – niektóre liczą lata swoje na tysiące, inne prawie
za naszej pamięci powstały. Czém jest każda z nich? wy-
tłómaczeniem jakiegoś grona faktów, jakiegoś rodzaju rze-
czy mniéj lub więcéj do siebie podobnych; a historya nauki
będzie summą wysileń zrobionych w tym celu. Duch ludzki
niecierpliwy prawdy, ile razy stawa w obec nowéj rzeczy,
pyta się: czém jest ona? i niespokojnie się krząta, póki nie
wynajdzie odpowiedzi. Rzecz pojedyncza takowéj mu nie do-
starczy; powinien zebrać więcéj do niéj podobnych, zebrać
rodzaj cały, którego ona jest jednostką, a odzielając różni-
ce, zestawiając podobieństwa, zagłębić się w istotę rzeczy
żeby całkowicie ją wyczerpnąć. Jednakże im dłużéj pracu-
je, tém więcéj nasuwa się szczegółów, aż pod ich ciężarem
upada; wtedy nie mogąc im podołać, gdy już mniemał
się bliskim celu, gdy już odpowiedź śmiałą miał w pogo-
towiu, zatrzymuje się z bojaźni, aby nie była niedostatecz-
ną, ułomną; wtedy to massę ową szczegółów rozdzieliwszy,

tylko małą z niej cząstkę zachowuje, ażeby na około niej rozpocząć na nowo pracę i gruntownie ją badając, prawdę wynaleźć. Tak z jednej ogólniejszej nauki powstaje nowa, rozmiarów mniejszych; ciężar pracy dźwigany przez jednego dzieli się, między kilku, a gdy nowe prace coraz więcej się wydzielają, z obszaru pierwszej, ogólniejszej, rodzi się z pierwszej nauki kilka nowych, z których każda zupełnej samodzielności się domaga.

Gdy z tym rozwojem pracy duchowej, odbywającej się przed naszemi oczami, porównywamy postępowanie pierwszych mędrców, widzimy rażące podobieństwo: gdzież bowiem wystąpili pierwsi, których imiona jeszcze dzisiaj zaszczycamy mianem filozofów? W dalekiej Indyi, gdy zaczęło zastanawiać się nad panteizmem braminów, gdy wśród ścierających się nowych sekt religijnych szukano prawd ogólnych, aby mieć broń dyalektyczną przeciw innowiercom. Równocześnie prawie także w Grecyi powstają myśliciele, którzy nie kontentując się przesądami ludu, tradycyą mitologii, szukają innej, lepszej odpowiedzi na pytania ich sumienie dręczące. Stary Tales i Ferekides, a z południowej Italii tajemniczy Pitagoras, oto pierwsi, o których potomność mówiła, że się filozofią zajmowali. Czémże była ta ich filozofia? czego szukali oni przez cały bieg żywota swego? mądrości; a jak mądrość tę pojmowali, i jakie jej naznaczali obyjęcie, przekazał nam mędrzec starożytny, mówiąc: „Mądrość jest to nauka o rzeczach boskich i ludzkich, oraz o przyczynach, jakiemi są powiązane.“ (Cic. de. Off. II. 2). Każdy przyzna,

że naznaczyli sobie zaszczytne zadanie, tak zaszczytne, że stały śmiertelnik nie ma nadziei, by choć w części je wypełnić. Nie zapominajmy, że stało się to w czasach młodzieńczych snów, gdy ludzkość z nieograniczoną ufnością przystępowała do tajemnic natury, myśląc, że je uchwyci od razu. Dzisiaj starzy jesteśmy; od owych marzeń młodzieńczych dzielą nas lat tysiące, pełne krwawych cierpień, gorzkich doświadczeń, tak, iż przyprószyły nam skroń siwizną i przed czasem starcami uczyniły. A przecież, ile razy chodzi o prawdę, zapominamy o tej siwiźnie naszej, zapominamy o niezliczonych złudzeniach, którym ojcowie nasi ulegli i na nowo stawamy do pracy, szukamy na nowo, choć tyle pokoleń przed nami szukało nadaremnie. Tylko droga nasza inną jest, albowiem mamy za sobą doświadczenie; nie mając nadziei, że prawda ogólna, prawda wszech rzeczy objawi się od razu, szukamy jej w dzielnicach mniejszych; dlatego miejsce jednego mędrca, marzącego o wszechświecie, zajętem zostało przez zastępy robotników, uprawiających pole mniejsze, starannie od siebie odgrodzone. Ztąd mniej poglądów ogólnych, ale więcej szczegółowych wyników, a kiedyś przyjdzie czas, gdy szczegółowe zdobycze ułożą się w całość, w jedną wyniosłą piramidę, na której podnóżu wypiszemy słowo: „prawda".

Ale wracajmy do pierwszych uczniów prawdy, do starych mędrców Hellady, którzy razem z myślami swemi przekazali nam nazwę filozofii. Gdy wystąpili, nauk

żadnych nie było; filozofia, którą stworzyli, była jedyną; aż do Pla-
tona żadnej innej nie znano. Ktokolwiek pragnął duchowi swemu
nadać wyższą ogładę, słuchał filozofii, a w niéj wszystkiego, co
tylko ludzie swego czasu o sobie i o świecie wiedzieli; filozof
był matematykiem i fizykiem, był moralistą i prawodawcą, w
razie potrzeby grammatykiem lub archeologiem; a chociaż
rozróżniano rozmaite części wiedzy ludzkiéj, chociaż jedne uwa-
żano za przedwstępne przygotowanie, a za inne za wynik fi-
lozoficznéj mądrości; przecież tylko przez nią istniały, w niéj
przyczynę bytu swego czerpały, bez niéj uważane były za mar-
ne, za uschłe, jakoby gałęzie odłączone od drzewa swego. Do-
piero Arystoteles dokonał tego rozdziału. W dziełach jego nau-
czyciela nie znać jeszcze wybitnego rozróżnienia. Prawda, że
czasem więcéj przyrodą, to znowu więcéj prawodawstwem
się zajmuje, w trzeciém dziele uwagę czytelnika głównie na
matematykę zwraca, w czwartém na składnię słów; mimo to
każdy większy z jego dyalogów nosi na sobie cechę całości, nie tyl-
ko z formy, lecz i z treści, gdyż w każdym wszystkie ważniejsze
kwestye, tyczące się człowieka i przyrody, są poruszane. Tak
dzieła Platona, jakoby rozliczne krużganki, wszystkie do tegoż
miejsca się zawiodą, do jednéj i téj samej wielkiéj myśli: że
rzeczy przechodnie, doczesne tylko środkiem są do poznania idei,
czém zaś idea, wykłada właśnie filozofia. Choć o najrozma-
itszych rzeczach Sokrates prawić będzie, zawsze po niejakim
czasie zwróci rozmowę do idei i w dziedzinę filozofii przecho-
dzi. Ta zobopólna jedność, to wzajemne przenikanie się fi-

%.

lozofii i nauk specyalnych ustało od czasów Arystotelesa. On pierwszy wszystkie nauki w szemat ułożył, pierwszy z nich sztucznym systemem wystawił o różnych działach i poddziałach. Jest to fakt niezmiernej wagi, którego następstwa dzisiaj jeszcze na nas oddziaływają. Jak bowiem owoce się zbierają, gdy już są dojrzałe, tak i Arystoteles ułożył pojedyncze nauki w nową całość, gdyż każda z nich była dosyć dojrzałą, dosyć wyrobioną w sobie, żeby odrębną stanowić istotę. Powstała więc pod ręką mędrca ze Stagiry encyklopedya nauk mniej więcej zupełna, do której bardzo mało nowych dodaliśmy części.

Ludzie, którzy potrafią cały obszar nauk duchem ogarnąć, rodzą się rzadko, co kilka wieków jeden; w całej starożytności już po Arystotelesie drugiego nie było. Ztąd wykończona całość myśli arystotelesowej stała się nowego rozdziału przyczyną, gdyż następcy jego, nie mogąc całości podołać, rozebrali encyklopedyę jego zeszytami; każdy wziął zeszyt jeden i w nim się zagłębił. Wypadku tego najwierniejszym obrazem jest Aleksandrya, gdzie duch Arystotelesa niejako wyrzekł się jedności swojej i w kilkunastu rozpromienił kierunkach, które odtąd mało dbając jeden o drugiego, rozwijają się współcześnie. Macie w Aleksandryi filologów, którzy tylko stare rękopisma kommentują, macie matematyków i astronomów, którzy się swoim poszukiwaniom wyłącznie oddawają, macie fizyków a nawet anatomów, a każdy w swoją drogę idzie, na innych się nie oglądając. Prawda, że od czasu do czasu znajdujemy męża, który w

./.

kilku gałęziach pracuje, ale są to wyjątki, które specyalizowania nauk nie powstrzymały. Czemże stała się filozofia wobec tych nauk specyalnych? Za Platona ich nie było, drzemały jeszcze w jej łonie; teraz wylęgło się ich tyle, że na pozór istnienie filozofii było zagrożonem, że może nie jeden ułamek się skrycie, czy wydzielanie się części nie pociągnie za sobą śmierci całości. Ale stało się przeciwnie. Duch grecki parł do jedności i nigdy jej się nie zaparł, czemu dziwić się nie można. W każdej z nowo powstałych nauk znachodziły się prawa, których doświadczenie empiryczne uzasadnić nie zdołało, a były to właśnie najważniejsze, tworzące podstawę całej nauki. Udawano się więc do filozofii porady, po ostatnie rozstrzygnięcie.

Prawnicy rzymscy np. zbierali skrzętnie objawy prawa, śledząc ich rozwój historyczny i powstanie, ich przemiany po przez wieki, wywołane coraz innemi potrzebami społeczeństwa. Zebrano materyał olbrzymi, całe stosy historycznych notatek; ale ilekroć chciano z nich wydobyć wewnętrzną naukę istotę, pytając się: co to jest prawo? co jest sprawiedliwość? zbiory owe milczały. Wtedy sięgano po dzieła filozofów, zaglądano do marzeń Platona, do matematycznych wywodów Arystotelesa, aby z nich wydobyć jakieś pryncypia, jakieś zasady, na którychby oprzeć się mógł system historycznych wywodów. Tak samo w naukach przyrodzonych, w mechanice np., uwzględniano apriorystyczne wywody filozofów, nie ufając doświadczeniu zmysłów, żeby ono z własnej mocy mogło prawa ogólne odstemiać. Nie ma-

my zamiaru usprawiedliwiać postępowania takiego; łatwo mo-
glibyśmy nawet wykazać, że zbytnia powaga Arystotelesa już w
starożytności niesłychanie rozwoju nauk empirycznych zaszkodzi-
ła. Ale poczucie instynktowe, że wszystkie nauki specyalne sta-
nowią całość, że żadnej dostatecznie bez pomocy innych zrozu-
mieć nie można, poczucie to było prawdziwem. Choć więc na-
mnożyło się nowych, choć pojedyncze nauki dosyć niezależnie
się krzewiły, nie przyszło nigdy w starożytności między nie-
mi a filozofią do rozprawy; owszem filozofia zachowała i
nadal bardzo wyższość, a młodsze współzawodniczki odebrać
jej nie pragnęły. Albowiem filozofia starsza od nich, wśród
stosunków zupełnie innych wyrosła; skończyła się na dwóch
systemach Platona i Arystotelesa, a chociaż jeszcze przez
ośm wieków żywot swój przeciągnęła, żadnej już nowej siły
żywotnej nie przybrała. Cały ten ośmiowiekowy żywot jej jest
tylko walką lub godzeniem się po kolei dwóch wspomnio-
nych systemów, a spór ich pozostał do końca nierozstrzy-
gniętym. Nauki zaś specyalne po swych systemach po-
wstały, a choć oddziaływały na ich kommentarze, żadnej
przecież nowej filozoficznej prawdy nie wydały; owszem,
z systemów swych czerpały objaśnienia, czasem je za-
niedbywały, ale nic nowego nie zrodziły, coby było miejsce
ich zajęło. Stało się to później, za naszej prawie pamię-
ci, że zażądano, aby filozofia zdała sprawę z istnienia
swego i z celów swoich, które dawniej na jej wiarę po-
wszechnie przyjmowano.

-:-

Nauki specyalne rozrosły się tak bujnie, każda z nich
wytknęła sobie tak obszerną i tak mozolną pracę, że jednostka ca-
łe swe życie oddawać jej musi; cóż dziwnego, że związek ich z fi-
lozofią się zerwał? Ale nietylko odłączyły się od niej zupełnie,
zapragnęły nawet jej miejsca. Nauki przyrodzone zabrały sobie
człowieka; nauki socyalne społeczeństwo; do przyrody zaprzeczo-
no filozofii prawa zupełnie, w etyce rywalizuje z nią teologia.
Łatwo więc dzień przewidzieć można było, w którym śmie-
li specyaliści wręcz jej oświadczą, że już nie ma dla niej miej-
sca; stało się to wiraz, a ogół oświadczeniom takim przykla-
skuje. Dzisiaj specyalistów potrzeba i tych jedynych szanują,
filozof zaś specyalistą być nie może, przynajmniej o ile jest
filozofem, gdyż jego zadaniem jest ogólniać co inne specya-
lizują, łączyć co inni dla ułatwienia sobie roboty rozdziela-
ją. Przecież głębsze umysły nie powątpiewają, że czas dzi-
siejszy jest tylko czasem przejścia, że owe niezliczone specy-
alności nakoniec zapragną jedności, zażądają dłoni, któ-
raby niemi kierowała. Dla tego śmiało spoglądamy w przy-
szłość i myślimy, że dzień nie daleki, gdzie rozproszeni zmu-
szeni robotnicy sami dobrowolnie wrócą do pana swego. Na-
tura bowiem ludzka pozostaje ciągle tą samą, mimo wszel-
kich rozumu postępów. Równie namiętnie dzisiaj, jak kil-
ka tysięcy lat temu, przystępują do tegoż pytania, do naj-
wyższego, które nas w tém życiu obchodzi, a które źle czy do-
brze zrozumiane, stanowi o naszém przyszłém: czém jest czło-
wiek? i jaki cel jego? Póki ludzie będą, nie będą omijać tę

./.

dręczącej kwestyi; ani zanurzenie się w pracach codziennego życia, ani zagłuszenie się rozkoszą, nie odrzucą jéj na zawsze, tylko do czasu ją odroczą, poczém z wielką natarczywością wraca na nowo. Któż więc odpowie na to pytanie? Gdy ludzkość pracą codzienną znużona, cierpieniem zbolała, zrażona przeciwieństwami, zawoła: dokąd zdążamy? na co te zabiegi nasze? na co ten pot nasz i ta praca rąk naszych? Któż wtedy odpowie? — Któż ze specyalistów wystąpi i powie, jak ten, co zna człowieka? fizyolog, chemik, anatom, każdy o nim coś powie, ale żaden na całą odpowiedź się nie zdobędzie. Czyż ekonomista? naturaliści mu zarzucą, że nie zna najważniejszych życia objawów, że zatém o niém rozprawiać nie może. Czyż historyk? on zna namiętności ludzkie, jak się ścierały z sobą, ale nie zna ziemi, na której walczyły, nie zna ciała, w którém one wrzały. Któż więc odpowie? a odpowiedź nagli, nawet najzagorzalszy specyalista temu nie zaprzeczy, gdyż o jego interes chodzi. Otóż filozofia jedna nie ociągała się nieść pomoc tym, którzy łaknęli odpowiedzi, przez dwadzieścia kilka wieków ją daje, a usiłowania jéj to, jéj historya.

Historya ta zupełnie odmienną jest od historyi nauk innych: nauka każda jest zestawieniem, jest syntezą pokrewnych sobie rzeczy lub czynów, a jéj historya długą, mozolną indukcyą, macaniem na wsze strony, próbowaniem bezustanném, wiodącém do nowej syntezy. Każdy krok w naukach specyalnych zrobiony naprzód, opiera się na już przebytej dro-

./.

dze, każdy nowy w nich rezultat polega na zestawieniu dawniejszych. Prawdę tę pojmie każdy, kto choć kilka miesięcy na zgłębianiu jednej nauki strawił; każdy świeży jej podręcznik zawiera obok nowych spostrzeżeń wszelkie znajome już prawdy. W filozofii zupełnie inaczej. Były czasy barbarzyństwa, w których zapomniano prawie o przeszłości, a wtedy biedny mnich jaki samotny, którego kilka zwojów pergaminu całym jest skarbem, rozmyśla nad sobą i nad światem. Mamy takich rozmyślań wiele, a uczony specyalista często nie wie, co począć z niemi, w której rubryce je umieścić; często w nich brak wszelkiej naukowej podstawy, często w nich dowolne, nieuzasadnione hipotezy; jednak filozofia tym wypływom zbolałego serca nie odmówiła miejsca w świątyni swojej, wszystkich mistyków w siebie gościnnie przyjęła. A przecież mistyk jest niejako zaprzeczeniem teraźniejszości i przeszłości; mało go obchodzi wiedza ludzi współczesnych, ani też czyta tego co pisano przed nim: zapomniawszy o świecie i gorącem tylko wiedziony sercem, chce wprost do prawdy trafić, bezpośrednio połączyć się z nią, żeby już nigdy odtąd z nią się nie rozstać. Czyż takie postępowanie nie jest wręcz przeciwne mozolnym specyalistów badaniom? czyż natchniona intuicya nie jest odwrotnym naukowej indukcyi biegunem? A przecież ludzie tacy zjawiali się zawsze, w każdym wieku, nawet dzisiaj ich nie brak. Przyrównywałbym ich do punktów spokojnych na uderzonej strunie, które dzieląc jedną wibracyę od drugiej, same udzia-

./.

tu w nich nie mają, same w niewzruszonej trwają spokojności. A jednak ludzie ci, wirem wieków nie porwani, jakoby nie należąc już do tej ziemi, ze wzrokiem ku innej ojczyźnie zwróconym, oni, co przerywają rozwój sami mu nie dotknięci, wywarli wpływ ogromny nietylko na biednych, na nieszczęśliwych, lecz na myślicieli wszelkiego rodzaju, na specyalistów, na filozofów induktywnych; dla tego słusznie nie wyłączyła ich historya filozofii z dziedziny swojej.

Mistycyzm nie jest jedynym szkopułem w biegu filozofii, i nie on jeden przeciw niej argumentów dostarcza. Przypatrzmy się mężom, którzy do pierwszych się liczą z pośród myślicieli, zastanówmy się nad duchem ich rozwojem, a ujrzymy zadziwieni, że wręcz przeciwnie się odbywa, niż w naukowych ludzi. Żadna systematyczność w tym rozwoju, żaden postęp od znanych prawd do mniej znanych, od jasnych do zawiłych; żaden z tych mężów nie mówi: oto co wiedziano przedemną w filozofii, nauczę się tego, a jeśli Opatrzność poszczęści, dodam prawdę nową do wyników badań, jakie poprzednicy moi odbyli. Zwykle ich nie znają, chyba z imienia, gdy już własny pogląd na świat mają gotowy. Młodzieniec dręczony niepewnością przeznaczenia swego, wiedziony gorącem prawdy umiłowaniem, wpada trafunkiem na dzieło myśliciela, który czasem tysiąc lat przed nim pisał, czasem dwieście, czasem mu jest współczesny: dzieło to uderza go, zachwyca jego wyobraźnię, wpaja się w jego duszę, a on przez

łała całe na niem myśl własną zaprawiając, zaczyna bacznie przypatrywać się światu i sprawom jego, zaczyna podchwytywać wrażenia swoje i śledzić objawy żywota swego, aż nareszcie z nowym wystąpi systemem. A jeżeli później do dzieł poprzedników zagląda, jeżeli późne ich mniemania zbija lub świeżemi dowodami potwierdza, czyni to więcej z ciekawości, co też to ludzie wielcy przed nim o tych samych rzeczach myśleli; czyni to więcej z obawy, żeby nie powtórzył, co tysiąc lat dawniej zostało lepiej wypowiedzianem, niż w przekonaniu, że wszystkich minionych systemów znajomość dopomoże mu do utworzenia nowego z tą samą nieomylną pewnością, jak dwanaście udowodnionych twierdzeń dozwala w matematyce znaleźć trzynaste. Filozofy i poeci rodzą się z łaski bożej: co było przed nimi i co jest naokoło ich, stawa się piastunem ich jestestwa, ale nigdy jego rodzicem, stawa się pobudką ich rozwoju, ale nigdy jego przyczyną. Nie jest to przypuszczeniem, ani pojedynczym wyjątkowym faktem: otwórzcie wszystkie wielkich filozofów biografie jedną po drugiej, a znajdziecie potwierdzenie słów moich w najdrobniejszych szczegółach. Okoliczność ta wiedzie za sobą dwa ważne następstwa. Najprzód za broń służy nieprzyjaciołom filozofii: Patrzcie, mówią, na ten szereg niby mędrców, którzy się kłócą między sobą; każdy z nich ogłasza system nowy, wszystkie poprzednie albo milczeniem przechodząc, albo zbijając namiętnie, a sprzeczność między nimi tak wielka, że nie tylko drogi ich różne, i wyniki rozmaite, ale co gorsza, nawet co do przedmiotu,

./.

który przecież wszystkim powinien być wspólny, zdania ich by-
najmniej nie są zgodne. Zaczepkom ludzi dziwić się nie mo-
żna, kiedy słowa samych filozofów za podstawę im służą;
słuchajmy, co mówi jeden z nich: „Filozofia jest nauką, któ-
rej pojęcie dotąd nie jest oznaczonem, bo gdyby niem było,
nie mielibyśmy tyle filozofij ilu filozofów, mielibyśmy tyl-
ko jedną. Nie mamy bowiem kilku fizyk ani kilku as-
tronomij, lecz jedną fizykę i astronomię jedną, ponieważ
pojęcie tych nauk jest ściśle oznaczonem." Panowie! są
to słowa głębokiego myśliciela, filozofa tego wieku, Fran-
cuza Jouffroy. Czegoż po przeciwnikach naszych spodzie-
wać się mamy, skoro dzisiaj, gdy filozofia ma za sobą
dwadzieścia pięć wieków ciągłej, wytrwałej pracy, uczeń
jej ogłasza, iż jej pojęcie, jej idea nie jest jeszcze ściśle
oznaczoną, czyli innemi słowy, że sama nie wie, czem
się właściwie zajmuje?

Na tego rodzaju zarzuty nie potrzeba od-
powiedzi: filozofia sama odpowiada przez swoje dzieje; li-
czyła ona zawsze najznakomitszych mężów między swo-
ich wyznawców; a ci bez wątpienia wiedzieli, czego w niej
szukali, czego po niej się spodziewali. Przytaczam jeden
tylko szczegół, by zarzut ów stanowczo uchylić. Iż do
pierwszej połowy naszego wieku nie było filozofa, coby
nie był wielkim specyalistą; w ich zastępie znajdziecie
wszystkie wiedzy ludzkiej gałęzie godnie przedstawione:
sławni teologowie i prawnicy, znamienici matematycy,

i naturaliści, antykwaryusze i filologowie, oto mężowie, którzy
orszak filozofów składają. Każdy z nich w swojej specyalnej
wiedzy tyle zasług położył, że imię jego z tą wiedzą jest nierozłą=
czne; każdy z nich, gdy w wieku dojrzałem włożył na skroń
wieniec filozofa, już otoczony był sławą znamienitego spe=
cyalisty. A każda z nauk przez nich uprawianych zaj=
muje się przedmiotem jasno oznaczonym, każda zimnej, ma=
tematycznej metody używa, ażeby go zrozumieć i zgłębić. Czyż
więc pomyśleć można większą psychologiczną zagadkę, wię=
kszą duchową potworność, jak ta, że myśliciel zaprawiony
na badaniach ścisłych, zamienia je na marzenia? że postę=
puje bitym gościńcem matematycznej dedukcyi, a równo=
cześnie błąka się po bezdrożach nauki bez celu, bez jasno
wypowiedzianej idei? Wielkie duchy Dekarta, Spinozy, Leib=
nica wzdrygnęłyby się na takie bluźnierstwo, oni, co z
matematyczną jasnością wygłaszali prawdę ludzkości.
Tak, prawdy szukamy, jednej i jasnej, nie prawdy jednej
rzeczy, lecz prawdy wszech rzeczy, która wszystko tłumaczy, i
każdą wiedzę szczegółową uzasadnia. Przeciwnicy powie=
dzą: „Szukacie prawdy tej przez tyle wieków, a znaleźć
jej nie mogliście; co lat pięćdziesiąt zjawia się myśliciel
nowy z prawdą nową!" Uznajemy ważność tego zarzutu,
choć nie trudniejszy od innych do zwalczenia. Naszem zda=
niem, prawda zupełna nigdy nam się w udziale nie dosta=
nie na tym świecie; będziemy wiecznie jej szukać, wiecznie
do niej się zbliżać, ale pamiętajmy, że najwyższa prawda

wielką jest, nieskończenie od nas odległą, że w nieskończoność za nią dążąc i do niej się zbliżając, nigdy jej nie osiągniemy zupełnie. Istota skończona nigdy w zupełności nie pojmie tego, co jest nieskończonem. Dlatego w licznych filozofii systemach widzimy wszędzie część prawdy, a gdy staną obok siebie dwa systemy na pozór wręcz sobie przeciwne, nie powiemy, że prawda w nich sprzeczną jest, lecz że każdy z nich inny promień prawdy uchwycił. Gdyby nam odsłonięto nagle prawdę całą, przekonalibyśmy się z wielkiem zdumieniem, że owe mniemane sprzeczności przez tysiące pośrednich pierścieni łączą się w całość zupełną. Przyczynia się jeszcze inna rzecz do różnicy systemów, a przyczyny tej nie w ich treści, lecz raczej w formie ich szukać powinniśmy.

Przenieśmy się myślą w obec kilku obrazów różnych wieków: niech stare freski pompejańskie staną obok fresków Rafaela, a weneckie płótno obok flamandzkiego. Pierwszy rzut oka nas przekona, że wszystkie różnią się od siebie i to ogromnie; jaka temu przyczyna? rzecz to dzisiaj dla nas obojętna, wystarcza sam fakt, a fakt ten nam wszystkim znajomy. Czyż się różnią one treścią? bynajmniej; często ten sam przedmiot uwiecznił pędzlem swoim mistrz północy i mistrz południa. Czyż motywami? te same uczucia, te same żądze były źródłem natchnienia dla mistrzów najrozmaitszych krajów. Mimo to istnieje różnica, zagadkowa różnica formy: inny koloryt i światło inne tłómaczą tę całą zagadkę. Przenieś-

my się teraz od znanego zjawiska do filozofii, a uderzy nas dzi-
wne podobieństwo. W arcydziełach sztuki jedna i ta sama idea
piękna rozpromienia się w najrozmaitszych kształtach po
przez różne szkoły, które nieraz nic z sobą wspólnego nie ma-
ją; to łamanie się w tysiączne, odmiennym blaskiem ja-
śniejące promienie jest niezbędnem, gdyż idea nigdy w je-
den kształt zupełnie wcielić się nie może. Ona nieskoń-
czoną jest, potrzeba więc dla niej formy jednej nieskończo-
nej, a takiej formy na tym tu świecie pomyśleć nie mo-
żna, gdzie wszystkie byty są w stałe przestrzeni grani-
ce; żeby więc idea wyrazić się mogła w sposób dostatecz-
ny, potrzeba dla niej, dla nieskończonej, nieskończenie
wiele kształtów skończonych. Toż panowie z filozofią
rzecz się ma nie inaczej. I w niej jedna tylko idea przyby-
wa, idea prawdy, do której usiłowania mędrców zmie-
rzają, a ona posłuszną im jest i na gorące ich zaklęcia
przybiera na się szatę doczesną. Lecz wszelka szata dla
niej jest za małą, nieskończona w skończonej pomieścić
się nie może, ztąd wciela się w kształty niezliczone, a ka-
żdy z tych kształtów rodzi się nowym systemem. Ponie-
waż zaś idea piękna nie bez pracy się urzeczywistnia,
a praca każda wymaga metody, oczywiście nowa od-
mienna forma dokonywa się za pomocą odmiennej metody;
ztąd ile szkół malarskich, tyle metod nowych. Podobnież sy-
stemy filozofów; każdy z nich ma swoją osobną metodę, i ża-
den nowy system nie stanie bez nowej metody. Ta różnica

./.

metod przyczyniają się głównie do różnicy systemów. Przecież różne te na pozór metody można sprowadzić do dwóch głównych.

Świat zewnętrzny ma dla nas wiele powabów, on i myśl naszą zaprząta i wrażeniom naszym panuje; od dzieciństwa w nim żyjemy, od niego się uczymy, a im młodszy kto, tém więcej w nim pogrążony. Tak i narody, im młodsze, tém więcej zewnątrz siebie żyją, a nie mniej mędrcy, którzy powstali za czasów ich młodości, zatopili się w nim zupełnie, myśląc, że wydobędą zeń odpowiedź na póżne ich jestestwo obchodzące zagadki; że zrozumieją własną istotę, gdy wszystko dokoła siebie poznają. Ten kierunek myśli, zawdzięczający początek swój młodości ludów, nie ustawał nigdy, a dzisiaj wzmaga się na nowo; chociaż wielkie przyniósł korzyści i filozofii i ludzkości, nie zdolny przecież wykryć prawdy najwyższej. Historya zresztą kilka razy o nim sąd stanowczy wyrzekła, albowiem i za czasów greckich i za Bakona rzucano się do badania natury, a główny rezultat zawsze ten sam pozostawał. Poznawszy prawa rządzące światem, rozpatrzywszy się w cudownym jego składzie, myślano, że nasze jestestwo jest niczém więcej jak wynikiem światowej organizacyi, a myśl nasza więcej niczém jak kombinacyą materyi, lub jak niektórzy mówią, ewaporacyą mózgu. Odpowiedź tę ludzkość nieraz słyszała, choć zawsze w świeżéj formie, a za każdą razą przyklaski;

wała jej, ale nie na długo; po niejakim czasie od niej się odwracała, gdyż jakiś głos wewnętrzny, jakiś instynkt szczęśliwy odwodził ją od zguby. Gdy tak materyalizm najważniejszych kwestyj albo wcale nie załatwiał, albo załatwiał w sposób sercu nieprzyjemny, i ciągle wewnątrz człowieka bawiąc, do tajników istoty jego trafić nie mógł, odbywał się równocześnie inny ruch potężniejszy, daleko silniej na umysły działający, ruch idealny. Zwolennicy jego nie twierdzili, że znamy świat zewnętrzny najlepiej, że to rzeczywistość najpewniejsza, na której jedynie można się opierać; twierdzili, że coś niechybnie pewniejszego znamy, coś niesłychanie więcej dostępnego, a tą rzeczą znajomą, wszystkim dostępną, jest nasze jestestwo. Ponieważ zaś to jestestwo myśli, oparli się na tej myśli i jego i z niej swój własny świat prawdy wyprowadzili, mało o to dbając, czy świat zewnętrzny, dotykalny do ich świata podobien. I myśl ich w dalszym rozwoju swoim wszelki hamulec zrzuciwszy, nie tylko że o świecie, ale nawet o własnej myśliciela istocie zapomniała; wzbiła się bowiem tak wysoko ponad wszystko, że w mglistej dali znikał i świat przed jej wzrokiem, i ten nawet, który ją zrodził. Myśl ta, w gorączce spekulacyi zapomniawszy, że do jakiejś istoty należy, której prawami rządzić się powinna, stała się nieistotową, stała się czemś nieograniczonem, ogólnem, gdzie wszelkie różnice zatarły się niepowrotnie; myśl osobista rozprzestrzeniwszy się, w myśl absolutną,

przemosła się śmiałym rzutem w pojęcie najodleglejsze i naj-
próżniejsze, w pojęcie jakiegoś oderwanego bytu, z którego mozol-
nie wyprowadza wszystko, co świat ten i pierś nasza wypełnia.
Myśl ta wydała liczne systemy, ale wszystkie ten sam los spo-
tkał, że w początkach swoich porywają, napełniają dumą,
gdyż są niejako nowem odtwarzaniem wszech rzeczy i praw
wszelkich, a koniec ich rozpaczliwy, albowiem każda taka
cudowna sztuczna kreacya, o tysiącznych delikatnie wy-
snutych nitkach, jak z próżnego pojęcia, jak prawie z
nicości wyszła, tak i do niej wraca, a zostaje tylko ab-
strakcya zimna i przerażająca, jak przestrzeń, w której
nic nie przybywa. –

Skreśliłem w kilku słowach dwa kierun-
ki filozoficznej myśli, które wręcz sobie przeciwne i największą
przeciw sobie tchnące nienawiścią, toczą walkę zaciętą: od sta-
rego Talesa aż do zniesienia ostatniej katedry filozofii przez
Justyniana, od św. Anzelma aż do ostatnich skamienia-
ciałych odrośli scholastyki, od Kartezyusza i Bakona aż
do Hegla i najmłodszych jego adeptów, nie ustała wal-
ka ta nigdy; przycichnąwszy czasem na chwil kilka, zry-
wała się z nowym faworem, burząc spokojność ludów
i szczęście jednostek, a ostatni jej odgłos jeszcze dzisiaj
wszędzie się odzywa, mimo pozornej obojętności ku wszel-
kim nowym systemom. Cóż zrobimy wobec tej walki? gdzież
staniemy wobec stronnictw zawziętych? Czy do idealizmu przy-
stąpimy? czy połączymy się z wyznawcami realizmu? –

/.

Że walka ta dotąd nie została zakończoną, dwie tylko mogą być temu przyczyny: albo żadne z dwóch stronnictw nie zdobyło się na system pod każdym względem doskonały, przed którymby przeciwnicy broń złożyli na zawsze, albo też walka ta rozstrzygniętą być nie może dla swojéj wewnętrznej istoty. Gdyby pierwsza przyczyna była prawdziwą, moglibyśmy się łudzić nadzieją, że nowy myśliciel, stanąwszy albo po stronie idealistów, albo w obozie realistów, stworzy system nowy, większy od dawniejszych, i zapewniwszy stronie swojéj zupełne zwycięztwo, drugą do poddania się zmusi. Nie jeden o tém marzył, nie jeden chciał być tryumfatorem. Ale łudzić się więcéj w takie marzenia nie będziem: jedno spojrzenie przekona nas, że walka ta nigdy nie dojdzie do końca, że żadna strona nie stanie u celu drogi swojéj, gdyż żadna z dwóch dróg nie może do celu poprowadzić. Obaj przeciwnicy chodzą w kole zamkniętém, obaj milcząco przyjmują jeden zasady drugiego, a potem się dziwią, że wyjścia nie widać z koła zaklętego. Każdy z nich coś przypuszcza, a dowolne przypuszczenia, ta petitio principii jest grzechem pierworodnym, którego klątwa na całym systemie spoczywa. Idealista w myśleniu i jego prawach widzi klucz wszelkiéj zagadki; przecież zaraz na wstępie o czémś myśli i działa pojęciami, a te pojęcia zkąd, jeśli nie ze świata zewnętrznego? a treść ich zkąd, jeśli nie z wnętrza istoty myślącéj lub zewnątrz niéj? A niech nam nie odpowiada, że na cele spekulacyi

swojéj mieści pojęcie, w którém nie dojrzysz nic empirycznéj treści, że od naszéj idei bytu zaczyna: abstrakcya ta, choćby najwięcéj zbliżona do nicości, zawiera w sobie treść jakąś, gdyż inaczéj nic z niéj wydobyć nie można. A treść ta zkąd? Ów wszechbyt Eleatów, owa odwieczna substancya Spinozy, ów byt heglowski, z którego niezliczonemi antytezami wydobywają się roje coraz innych, coraz więcéj dotykalnych pojęć, zkąd one i z jakiego prawa na czele systemu umieszczone? Nie usprawiedliwił się z tego żaden idealista, to ich milczące petitio principii. A realiści? mędrcowie, którzy krok każdy na doświadczeniu zmysłowo opierając, siebie za nieomylnych mają, czyż każdy z nich nie zabiera się do swoich doświadczeń podług myślenia praw pewnych, niezmiennych? czyż podług nich bezustannie nie postępuje? czyż ich ważność nie uznaje milcząco na każdym kroku swoim? I tak obydwaj pierwszém przypuszczeniem wprowadzają ferment, rozkładający ich pracę. Idealista, za pomocą saméj formy myślenia nie mogąc ani kroku zrobić naprzód, wprowadza do niéj cichaczem treść jakąś, prawda, że ledwo dojrzalną, a ta w dalszym rozwoju wyłamuje się z pod formy, stawa naprzeciw niéj i ją roztrąca. Realista znowu, goniąc za treścią doświadczenia, potrzebuje narzędzia, aby ją zbierać, a tém narzędziem jest myśl jego. I myśl ta, owa forma w milczeniu przyjęta, stawa naprzeciw treści nabytéj doświadczeniem jako siła obca, niezależna,

/.

i przenikając treść ową, wprawia ją w niespokojność, w ducho-
wą fermentacyę, która ją powoli rozkłada.

Skoro więc walka systemów nie rozstrzyg-
nie się nigdy i skoro każdy z nich w sobie odrobinę prawdy mie-
ści, jak powiedzieliśmy przedtem, cóż począć? czyż z obojętnie-
jem dla prawdy i życia całe powątpiewać będziemy, lub też
wyjmiemy z każdego systemu ową cząstkę, która nam się pra-
wdą wyda i na codzienne potrzeby podręcznik ułożymy? Tak
czynią ludzie wygodni i tak czynili zawsze; owa naszej pamię-
ci jeden z francuzkich retorów, którego niesłusznie nazwano fi-
lozofem, wypisał śmiało na chorągwi swojéj hasło eklektyzmu.
Panowie! eklektyzm nie jest filozofią, nawet rozumu nie wyma-
ga; cokolwiek zdrowego rozsądku, którego zawsze dosyć w świe-
cie, oto wszystko czego potrzeba. Każdy ułoży sobie z mniemań
obcych i własnych program życia; każdy człowiek w pew-
néj mierze jest eklektykiem, ale nie każdy rości pretensyę do
filozofii, do samodzielnéj myśli. Eklektyzm przypada do
gustu ludziom praktycznym, spokojnym; ale im nawet
tylko do czasu on służy, bo za lat kilkanaście powstaje
system nowy, a wtedy na nowo muszą wybierać.

Ze wszystkiego co dotąd powiedziałem,
wynika, że nie mogę przysięgać na żaden system mi-
niony, ani wybierać z nich po kłosie, ażeby garść mo-
zolnie zebraną podawać wam jako nowość; zażądacie
więc nowego systemu, a żądanie wasze jest słusznem.
Kto chce dzieje filozofii sądzić, powinien mieć mierzachowianą

/.

zasadę, aby na niej stanąwszy, przypatrywać się bezpiecznie wi-
rowi, czemu zamętowi tylu zdań rozlicznych. Zasada ta będzie jego
systemem, a systemu tego nie myślę przed wami zadać. Nowy zaś
system wymaga nowej metody, gdyż metoda i system jedno są;
potrzeba więc, abyśmy się porozumieli co do nowej metody. Wi-
dzę, że wyraz „nowa metoda" wywołuje uśmiech niedowie-
rzania na wasze usta, bo gdzież metoda, którejby nie byli
spostrzegli znakomitsi badacze, co przed nami filozofię upra-
wiali? Nie zaprzeczam, że metoda, której się trzymać będę,
była już dawniej częściowo używaną, ale nie została nigdy
konsekwentnie przeprowadzoną, i żaden system wykończo-
ny nie był jej konsekwentnym owocem.

Metoda każda jest drogą, a udający się
w drogę, gdzieś zaczyna; od tego początku zależy pomyślność
drogi. Początek ten powinien być pewnym, powinien do
tego stopnia jasnym być i zrozumiałym, aby nawet naj-
mniejsze powątpiewanie co do słuszności jego niemożli-
wem było. Wspomnieliśmy, że ani realistów, ani idealistów
metoda takiego punktu wyjścia nie miała. Metoda empi-
ryczna, oparta na działaniu zmysłów, przypuszczała, że świat
zewnętrzny jest nam najlepiej znany, że on istnieje rzeczywi-
ście, że zatem najpewniej z niego wychodzić i jemu zaufać.
Wobec tego mniemania wystąpili za wszystkich czasów
myśliciele pierwszego rzędu, którzy przeciwnego byli zda-
nia, twierdząc, że wszelką o świecie wiadomość tylko za
pomocą myśli nabyliśmy, że zatem myśl pierwszą jest.

że ona lepiéj nam znana niż którakolwiek rzecz inna; że nareszcie myśl tylko zawiera i odkrywa w sobie byt prawdziwy, rzeczywisty. Zwolennicy obu metod wyrzucali sobie słusznie nawzajem że rozpoczynają od przypuszczenia, które żadnym dowodem nie zostało poparte; nam zaś o metodę chodzi, której pierwszy krok tak będzie pewnym, że wszelkie stronnictwa uznają go od razu.

Metoda więc, która nas ma do prawdy najwyższej zaprowadzić, powinna zacząć od prawdy niższej, przez wszystkich bez wyjątku przyjętej; tą niższą prawdą jest człowiek: o tém, że istnieje, że myśli i czuje, nikt nigdy nie wątpił. Zaczynamy więc od niego; a metoda która w ten sposób postępuje, nazywa się psychologiczną. Powiedzie, że ta metoda nie jest nowa, że dwóch wielkich mężów, takową zastosowało do badań swoich: pierwszy Dekart, drugi Kant. Ale rozczytawszy się w ich dziełach i rozważywszy nauki ich uczniów, z żalem wyznać musimy, że jednostronnie ją pojęli: obaj uznali wprawdzie, że ze wszelkich jestestw nasze najlepiéj nam znaném jest i że dla nas najpewniejszą stanowi rzeczywistość; ale zamiast całe jestestwo nasze uchwycić i na całości jego oprzeć badania swoje, tylko część jego wybrali. Wszelkie żądze i namiętności, miłość i tęsknotę, objawy woli niezłomnéj i szał rozpaczy, wszystko na uboczu zostawiwszy, myśl jedną uznali. Abstrakcyjny jakiś, wiecznie myślący a niczém nie wypełniony człowiek stanął na czele systematu, i ztąd po szczęśliwym wstępie, znowu myśl sa-

ma panowała w najlepsze. I tak metoda, w początkach psychologicz-
nych, oparta na rozbiorze istoty naszej, stała się spekulatywną, uz-
nającą tylko jeden przymiot istoty naszej, myśl naszą, i nic więcej.
Uczniowie, którzy zawsze wady mistrzów swoich na kształt wklę-
słego lustra odzwierciedlają, w większych rozmiarach, przesadzili
jednostronność i weszli na drogę czystej abstrakcyjnej spekula-
cyi, gdzie osobistość człowiecza, mająca być dalszych badań
podstawą, znikła zupełnie w przestworze jakiegoś nieo-
graniczonego wszechbytu. I tak po Dekarcie Spinoza, po
Kancie Fichte, Szelling, Hegel zatarli ostatnie ślady szczę-
śliwie rozpoczętej reformy. Dlatego mieliśmy słuszność
twierdzić, że psychologiczna metoda, dwa razy uznana
za konieczną i dwa razy wśród niezmiernych nadziei do
życia powołana, zmarniała w zarodku i trwałych owo-
ców nie wydała. Rozpoczynając ją na nowo, rozpoczy-
namy w istocie dzieło nowe, a jeśli udamy się w ślady
wielkiego Dekarta i głębokiego Kanta i dalej poprowa-
dzimy dzieło przez nich rozpoczęte, nie wyrzekamy się
w niczem samodzielności naszej.

Ale metoda psychologiczna nie jest dosta-
teczną; prawda, że rozbiera istotę człowieka na pojedyn-
cze jej przymioty i władze, że obok myśli odsłania naj-
tajniejsze skrytości serca, że niejako prawną ręką mi-
strza wyjmuje z misternego zegarka jedno kółko po dru-
giem, jedną sprężynę po drugiej i przed nami je rozkła-
da. Czyż stąd zrozumiemy dzieło całe? czyż mając części

przed sobą rozłożone, pojmiemy, jak działają jedna na drugą? jak się układają w całość zgodną i ruchliwą? Trzeba się także całości przypatrzyć, a całość nie w jednym człowieku przebywa. Człowiek nie jest oderwaną jednostką, mającą w sobie cały byt swój i przeznaczenie; nie zdołamy go sobie wyobrazić po za obrębem rodziny, po za granicami społeczeństwa. Chcieć zrozumieć ducha jego i serce, nato nie wystarcza anatomiczny rozbiór pojedynczych własciwości jego, nie wystarcza przegląd sił, które w nim się odzywają; potrzeba wykazać, w jaki one sposób działają. Ale człowiek myśli, żąda, działa w społeczeństwie, rozwój więc społeczeństwa jedynie może wytłomaczyć rozwój jednostki. Dlatego anatomia ducha powinna się uzupełnić jego fizyologią, ale fizyologię odsłaniają nam dzieje. Człowiek-jednostka jest zbyt ciasnym punktem wyjścia; na tej wązkiej podstawie stanąwszy, popadlibyśmy w nową jednostronność, w nowe błędy. Gdy zaś do człowieka-jednostki dodamy człowieka społecznego, gdy istotę jego odsłonimy, jak się przebudza do życia, jak działa wciąż wśród rozwoju ludzkości, wtedy oprzemy system nasz na gruncie trwałym, a żaden przeciwnik go nie obali.—

Podstawą więc nowego systemu będzie i być powinna psychologia, a razem z nią antropologia. Ale dwie te nauki powstały dopiero na dobre w naszym stuleciu, a praca ich ledwo połowę drogi przebyła; dla tego nie wszystkie ich części zarówno wykończone, nie wszystkie

twierdzenia należycie udowodnione; nawet wzajemny ich stosu-
nek nie ustalony jeszcze dostatecznie, a co więcéj, że nawet z
obszaru innych nauk nie zupełnie się wydzieliły, ani samo-
dzielności swojéj nie zupełnie urzeczywistniły. Antropologia
mianowicie jedno z najmłodszych dzieci naszéj duchowéj pra-
cy, w wielu częściach dotąd z pokrewnemi jéj gałęziami
wiedzy zrosłą jest, wiele w niéj ciemnych pojęć, wiele
chwiejących się mniemań. Ale to los wszelkiéj wiedzy do-
czesnéj; ona jest zawsze zależną od innych nauk, z któ-
rych postępem ona także wzrasta. Olbrzymie prace do-
konane w dziedzinie przyrody, zadziwiające badania
na polu dziejów, języków, religijnych i prawnych mnie-
mań, śmiałe podróże, co odsłoniły nam niejeden kraj
nieznany, niejeden naród dotąd zaniedbany, oświecają co-
raz większem światłem przeszłość człowieka i prawa
jego rozwoju. Z nowego światła korzysta antropolo-
gia i dąży usilnie naprzód; że zaś nie stanęła jeszcze
tam, gdzie zbyt niecierpliwi już dzisiaj ujrzećby ją pra-
gnęli, nie jéj wina: każda nowa nauka mozolnie sobie
drogę toruje wśród niechęci starszych, które tamują jéj
rozwój niewczesną polemiką, lub zimną obojętnością opóź-
niają. Ale od czego przyszłość? przed nami otwarta po-
równa.... Przez długi czas narody i nauki żyły
w odosobnieniu, spoglądały na się z nieufnością, za-
mykały się jedna przed drugą; dzisiaj zapomniały o pry-
wacie, gdyż ta znikła w obec celu wzniosłego, a cel
i

ten tak wyrazisty... a droga doń tak szeroka, że wszystkie prace specyalne, wszystkie dążności i chęci osobne na niej się pomieszczą.... I na szerokiej tej drodze śpieszą naprzód lu-dy i mędrcy: ludy, żeby urzeczywistnić kiedyś jedność i bra-terstwo społeczeństwa, zapowiedziane w Księgach Nowe-go Zakonu... a mędrcy, żeby przywrócić nam jedność Du-cha, za którą wzdychamy od czasów upadku Hellady... Ale nowa ta jedność będzie większą i wspanialszą niż minióna grecka, gdyż do niej dodane będą tysiącletnie zdobycze chrześciańskiego(s)twa. Pod ożywczém tchnieniem Ducha chrześciańskiego wykończy się gmach nowy z ol-brzymią kopułą, w której cieniu spoczną wszystkie narody, a kopułą tą... będzie nowa filozofia.—